

KSAWERY PRUSZYŃSKI



*Margrabia*  
WIEŁOPOLSKI

Dlaczego dzisiaj, w wojennym 1944 roku, wywoływać z mroków przeszłości poepsny cień Wielopolskiego? Czy nie lepiej zdobywcom Monte Cassino, kroczącym zwycięsko przez Włochy, przypominać obrońców Mantui i żołnierzy spod Trebil? Czy nie lepiej przypomnieć tym spdo Tobruku uporną walkę Saragossy, pancerniakom szarże samosierżantów? Poczóż właśnie w okresie tak bardzo orgnym przypominając te postać tak bardzo, cywilną? I wreszcie, czy ten cały Wielopolski, wraz ze swym ziemiańskim Chrobrem i margrabskim tytułem, odległymi czasami krynolin, lamp gazowych i pierwszych koleji żelaznych, nie należy do zupełnie dziś zaginionej, zupełnie od naszej odmiennej, epoki?

Otóż jest właśnie zupełnie inaczej. Nasza obecna epopeja wojenna ma tyle własnej sławy, przybrała tak szeroki zasięg i tak silnie zaważyła na wielu zwrotnych okresach tej wojny, że nie musi szukać w przeszłości porównania ani podniety. Ale jak przed wiekiem z górą tak i teraz sam wysiłek orgny polski do odbudowy państwa nie wystarcza. Potrzebna jest myśl polityczna. Myśl ta to określenie naszych zamiarów i właściwe ocenienie sił, jakimi rozporządzamy, oraz możliwości, jakimi jesteśmy ograniczeni. Myśl polityczna — to właśnie Aleksander Wielopolski.

A dzieje tego człowieka nigdy może więcej niż teraz nie zasługują na uważne i chłodne rozważenie. Jak my wyrósł w państwie polskim Królestwa Kongresowego, powstałem, jak nasza Rzeczypospolita, w wyniku wielkiej, napoleońskiej, burzy wojennej. Jak my wierzyl z młodu w trwałość tego państwa, gotował się do pracy w jego ramach, i przeżył jego rozgrom. Jak my stanął potem przed programem odbudowy państwa polskiego, i jak my zwrócił oczy na Zachód. A wreszcie podjął zadanie olbrzymie, za ciężkie nawet na tak silną wolę, tak wielki intelekt i tak potężne barki. Pogodzenia, poprzez przepaści historii, Polski i Rosji. W tem widział drogę do trwałej odbudowy niepodległości.

W powierzchownym polskim mniemaniu ucarty się o tym człowieku dwie, historycznie mylne, opinie. Po pierwsze ta, że Wielopolski rozczarował się zupełnie do Zachodu odwrócił się odeń plecyma i bez zastrzeżeń padł w objęcia Rosji. Tak nie było. Wielopolski tylko zrozumiał, że na Zachód możemy liczyć w ograniczonej jeno mierze, co oczywiście nie jest wszystkim, nie jest tem co opinia narodowa oczekuje od Zachodu, ale też nie jest i czemś do pogardzenia. Mylnym był pogąd ówczesnej opinii polskiej, że Zachód poprze Polskę przeciwko Rosji. Słusznie natomiast było przekonanie tego samotnego męża stanu, że Zachód tego nie zrobi, ale może, w sprzyjających okolicznościach, ułatwić Polsce porozumienie z Rosją. Idąc na to porozumienie z Rosją, Wielopolski nie tylko nie stracił poparcie Zachodu, dyplomacji brytyjskiej czy francuskiej, ale je nawet pozyskał. Tak samo za bliższych nam czasów inny polski mąż stanu nie tylko nie stracił uznania brytyjskiego dlatego, że dążył do porozumienia z Rosją, ale przeciwnie, właśnie je tem bardziej pozyskał. Rzadko który polityk polski był tak bardo człowiekiem Zachodu jak właśnie Wielopolski. —

Tak samo mylnym jest pogąd jakoby margraba — użymy tego tytułu który przeszedł w epitet — był w jakiegokolwiek fazie swego życia zwolennikiem bezkompromisowej kapitulacji wobec Rosji, jej narzdzim, agentem czy ugodowcem. Takich nie brakło w Polsce ani przed nim, ani za jego czasów, ani po nim, ale on zawsze się od nich odcinał. Przeciwnie. Wielopolski nie tylko nie był zwolennikiem „złania się” dwóch narodów słowiańskich w jedno, ale był odnowicielem samodzielnej państwowości polskiej. Starł się w Polsce przeprowadzić program odbudowy własnej państwowości, jaki współcześnie przeprowadzili właśnie dwa inne narody: fiński i węgierski, nie ponosząc przez to najmniejszych szkód, a przeciwnie nader wiele korzyści. Przeprowadzenie tego programu uważał za nieodzowny początek porozumienia Polski i Rosji. Skoro ujrzał, że widoki na przeprowadzenie tego upadły, uznał swą rolę za skończoną, a zadanie niemożliwym do przeprowadzenia w warunkach jakie nadeszły. Ale kiedy po klęsce 1864 roku niedługo z dawnych wrogów Wielopolskiego — jak nawet Kraszewski — wystąpił z programem o wszelkich cechach ugodowości, Wielopolski nie szukał już dla siebie miejsca w takim „obozie”. —

Łączenie powiązań angielsko-francuskich z rosyjskimi wrogoci z jaką w stosunku do Wielopolskiego zionęły Wiedeń i Berlin, pozwolił nam może kiedyś na wykrzycie jaka była „polityka zagraniczna” i międzynarodowa gra tego człowieka. Znamy ją mało, albowiem pism nie zostawił, a zrealizować zdążył tylko pewien fragment swego programu: reformy wewnętrzne, modernizację Królestwo. Ale trudno sobie wyobrazić by człowiek o tak wybitnym umyśle, wielkim zasobie wiadomości i zainteresowania, mocnym tkwieniu w Zachodzie, nie posiadał żadnych rachub wiążących się z sytuacją europejską. Tyłu pomniejszych posiadało je! Nie trudno nam sobie zrekonstruować jak mogły wyglądać owe międzynarodowe rachuby Wielopolskiego. Pracując nad zbliżeniem anglo-francusko-rosyjskimi na tle sprawy polskiej, nastawiony antyniemiecko i antyaustriacko, Wielopolski zmierzał niewątpliwie do konfliktu europejskiego, w którym Rosja i Zachód byłoby po jednej stronie frontu, a oba „mocarstwa centralne”, jak je potem zwać miano, po drugiej. I on więc liczył na, wielką wojnę ludów „jako czynnik wskrzeszenia Polski, ale dla niego była to bardziej przewidliwość męża stanu, niż miraż poety. Zwycięstwo w takiej wojnie wydawało się przesadzone. Dąłoby ono niewątpliwie Polsce jej prusaczone ziemie zachodnie, może nawet z tym Wrocławiem, tak bliskim jego sercu, tak jeszcze nasiąkniętą okoliczną, polskością dąłoby szeroki dostęp do Bałtyku, tworząc z Kongresowickiego „Piemontu” państwo duże i silne. Niestety, właśnie na sprawie polskiej doszło do poróżnienia pomiędzy Rosją a Zachodem, a zbliżenia Rosji do Prus. Polskie powstanie 1863 roku i francuska klęska 1870 roku opóźniły tak właśnie wojnę o cale ciężkich pięćdziesiąt lat.

Oto jak wyglądała w wielkim zarysie myśl polityczna Wielopolskiego kiedy ją wyprujemy z fataląszków epoki. Kim był sam Wielopolski? Kim był w swojej epoce? Był człowiekiem, jednym z najwłaściwszych i najościeńszych wówczas, który oceniał trafnie co możemy, a czego nie możemy, oczekiwać od Zachodu. Był człowiekiem który zrozumiał wcześniej, że Polska ani powstać spowrotem, ani istnieć trwale nie może bez stałego porozumienia z jednym ze swych potężnych sąsiadów; docenił z wczasu narastanie niebezpieczeństwa germańskiego, którego pełnię grozy dożyliśmy my dopiero; nie tracił z oka, jak wielu innych, najbardziej rdzennych ziem naszego narodu. Unowocześniał reformami kraj; pracował wreszcie nad tem aby dotychczasową współpracę rosyjsko-niemiecką zastąpić współpracą Rosji a Zachodem.

Tyle jeśli chodzi o profil myślowy tego człowieka. Jeśli chodzi o profil jego charakteru, to musimy powiedzieć, że posiadał on rzadką wogóle, a arcyrzadką w Polsce zdolność do podporządkowania osobistego sentymentu narodowej racji stanu. Los zaś jakby naprzekór skazał go właśnie na stały taki konflikt. Wielopolski urodził się jako arystokrata, a przeprowadzał reformy których zadaniem było położenie kresu hegemonii szlacheckiego ziemiaństwa przez podnoszenie klasy mieszczańskiej i dźwignię chłopskiej. Wielopolski był z krwi tradycjonalista, a jednak poszedł przeciwko tradycjonalistycznej Austrii; Wielopolski był głębokim katolikiem, ale podjął odsunięcie kleru od polityki; Wielopolski był z umysłowości i wykształcenia Niemcem, a szedł tak bardo przeciwko Niemcom jak mało kto z Polaków w jego epoce. Może to właśnie zadecydowało o jego psychicznej samotności w Polsce; O jego niepopularności zadecydowało natomiast coś innego. Na Aleksandra Wielopolskim sprawdziła się niewątpliwie ta wielka reguła dziejów Polski, że uznaniem cieszą się miernoty, a wielkości obkładały nienawiścią. Dzięki tej regule bożyszczami naszego tłumu był Michał Korybut Wiśniowiecki czy Rydz Śmigły, a najwybitniejsi i najwięksi albo wcale nie dochodzili do władzy, albo dochodzili do niej za późno, lub jeśli wreszcie doszli, przechodzili poprzez istną Golgotę oszczerstw, jadu, potwarzy, zawiści i złości ludzkiej, tem większej im byli więksi. Ale też może właśnie dlatego nasze dzieje w ostatnich paru stuleciach to jeden wielki karkociąg walący skręcającami w dół, przechodzący z klęski do klęski.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA  
WIELOPOLSKI

NAKŁADEM

„NOWEJ POLSKI“

91, GREAT TITCHFIELD STREET, LONDON W, 1

TEL. : MUSeum 1409

Cena 4'6

FIRST PUBLISHED  
24th JUNE 1944

PAMIĘCI WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO



This book is produced in complete conformity  
with the authorised economy standard



11-6903

Made and printed in Great Britain by  
JOHN BALE AND STAPLES LIMITED  
*A Staples Press Company*  
83-91 GREAT TITCHFIELD STREET LONDON W 1

## MARGRABIA WIELOPOLSKI

*“Wielkości, gdzie twoje imię?  
Największe imię, to margrabia”*

*Józef Piłsudski, Rok 1863.*

### I.

#### MŁODOŚĆ I LISTOPAD

Urodził się jako syn jednej z kilkunastu magnackich dynastyj w Polsce, co prawda nie jednej z największych, ale bądź co bądź dynastii. Nie trzeba na to Marksa by odkryć jak urodzenie ciąży w następstwie na losach człowieka, i to nawet wtedy gdy nie jest ono tak wyraziście umiejscowione klasowo jak urodziny arystokraty pełnej krwi. Magnackość zaś Wielopolskich była tym szczególniejsza, że odróżniająca się w sposób bardzo jaskrawy od przeciętnej magnackości Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, Lubomirskich, Zamoyskich. Tamci byli niemal w całości pochodzenia litewsko-ruskiego, i nawet gdy pochodzili z krwi polskiej to wyrosli na magnatów najczęściej wtedy dopiero gdy przywarli nadaniami i dobrami do litewskiego boru czy ukraińskiego stepu. W odróżnieniu od nich Wielopolscy pochodzili nie z zubożałych ruskich dynastyj ale z wzbogaconych krakowskich mieszczan, może czeskiego, może niemieckiego, może rodzimego krakowskiego pochodzenia: Bochnarów. Takich rodów w arystokracji polskiej było mało, tak samo jak w arystokracji polskiej było mało owej mieszczańskiej trzeźwości, kalkulacji, realizmu, cech częstych za to w arystokracji powiedzmy sobie angielskiej, gdzie i pochodzenie takie jak Wielopolskich, — od „łokcia”, jest także częste. W dalszym ciągu mnożyły się u Wielopolskich cechy nader rzadkie w tej polskiej warstwie. Oto odziedziczyli oni drugie nazwisko, nowy tytuł i dużo wsi po wygasłej rodzinie Myszkowskich. Jeden z Myszkowskich został „przypuszczony do nazwiska i tytułu” przez Gonzagę, księcia Mantui, papież uznał tę transakcję, i odtąd głowa rodu nosiła tytuł margrabiego Gonzagi-Myszkowskiego. Po wygaśnięciu Myszkowskich Wielopolscy z dobrami po nich przejęli i owo drugie nazwisko i tytuł, — co znowu zdarzało się zwykle za granicą, ale niemal nigdy w Polsce. Odtąd głowa rodu Wielopolskich nosił oficjalnie nazwisko i tytuł margrabiego Gonzagi Myszkowskiego, hrabiego Wielopolskiego (bo w międzyczasie i dla reszty członków rodu wystarano się o jakiś tytuł). Był także ordynatem pińczowskim, bo Myszkowscy stworzyli ordynację której zabrać do grobu nie mogli. Znowu ordynacją było dużo w całej reszcie Europy, ale w Polsce było ich bardzo mało, szlachta ich nie lubiła, gdyż podważały starą zasadę równości szlacheckiej. Moźniejsi i potężniejsi od Wielopolskich Zamoyscy czy Potoccy odmawiali obcym dworom przyjęcia tytułów książęcych czy hrabiowskich właśnie dlatego aby nie urazić tym „braci szlachty”, i przyjęli tytuły hrabiowskie dopiero z rozpadem Rzeczypospolitej, raczej dla wygody, niż dla zaszczytu. Margrabia Gonzaga-Myszkowski, ordynat pińczowski, hrabia Wielopolski w jednej osobie, był tak na stoku gór Świętokrzyskich, pomiędzy Proszowskiem a Końskiem,

jakimś obcym rarogiem, dziwną fantazją losu rzuconym tu z jakiegoś królestwa Obojga Sycylii, albo Nawarry. Musieli być nielubiani. Byli też nimi w istocie, i to zarówno Wielopolscy, jak Myszkowscy. Oba rody brały bowiem z zagranicy nie tylko niepopularne tytuły, ale jeszcze bardziej niepopularne w ówczesnej Polsce poglądy. Wielopolscy i Myszkowscy byli stronnikami Habsburgów, Jezuitów, Wazów, przeciwnikami wolności szlacheckiej, zwolennikami silnej władzy królewskiej. Kiedy inni magnaci wznęcali rokosze przeciwko królowi, oni stawali za królem, kiedy inni chcieli króla sprowadzić do roli takiej kukły jaką był doża w Rzeczypospolitej weneckiej, oni chcieli zrobić z polskiego króla w Warszawie jakiegoś Habsburga z Wiednia czy Burbona z Madrytu. Rozumowali tak, jak rozumował ówczesny europejski kontynent, — i jak zgoła nie rozumowała Polska.

Wszystko więc łączyło się na to aby Wielopolscy wzięli sobie w nawyk być czymś innym niż cała reszta Polski, — to jest tym co oni i im współcześni uważali wtedy za Polskę, i niemal z reguły iść przeciwko temu. Z innymi magnatami polskimi mieli chyba wspólne tylko to jedno: poczucie wielkości rodowej. Właśnie w okresie poprzedzającym narodziny Aleksandra stan majątkowy rodziny się popsuł, musiano myśleć o sprzedaży części dóbr ordynacji aby zapłacić długi, i ważkim tym zagadnieniem zajmował się nawet dość długo powołany do innych nieco spraw Sejm Czteroletni. Wreszcie, aż w roku klęski Napoleona, nastąpił układ, który okroił ordynację pińczowską o jedno miasto — właśnie Pińczów, trzydzieści wsi, których wymienić nie pośpieszamy, 16.000 poddanych miejskich i chłopskich, oraz 90.000 morgów. Z dawnej ordynacji pozostała ledwo jedna czwarta. W okresie rozbiorów Polski był to prawdziwy rozbiór Wielopolstczyzny. Przyszły jej dziedzic, pierwszy okrojony ordynat, urodzony w 1803 roku, był jeszcze dzieckiem gdy doszło to do końca. Kiedy niedługo potem wstąpił na tron ordynacki, postanowił z tym skończyć. Było to pierwsze — zauważmy — publiczne wystąpienie w tym życiu.

Młody ordynat odebrał gruntowne wychowanie i wykształcenie. Studiował i skończył prawo w Paryżu, a filozofię — wraz z doktoratem — w Getyndze, i swą wiedzę prawniczą zużył od razu do wytoczenia procesu o całość granic ordynacji. Znajomość prawa i znajomość Niemiec powiększyły w nim tylko twardość. Tak się stało że nabywcą owej okrojonej części był warszawski adwokat prowadzący sprawy Wielopolskich, Jan Olrych Szaniecki. Była to dosyć ciekawa postać. Bardzo zdolny adwokat zrobił szybko dużą fortunę. Posiadał nader postępowe poglądy, a zaciągnął się do wojska polskiego i odbył jedną z kampanij napoleońskich w randze kanoniera. Objąwszy część dóbr pińczowskich powprowadzał w życie zasady. Zreorganizował w nowoczesnym duchu szkoły, istniejące tu dawniej dla ludu, oczynszował włościan (ku zgrozie okolicznych ziemian, a poklaskowi postępowców z miasta), a księgozbiory ordynackie Wielopolskich które dostały mu się wraz z dobrami poroździelał na biblioteki miejscowe, dostępne publiczności. Procesy w Polsce skupiają zawsze na sobie oczy opinii: coż dopiero, obecny, wytoczony przez młodego margrabiego bogatemu adwokatowi! Po stronie pierwszego stanęła część tradycyjno-konserwatywna opinii, dla której całość ordynackiej fundacji była znacznie świętszą rzeczą niż obowiązek spłaty długów, która nie lubiła w ziemiaństwie intruzów miejskich, a tym mniej ich radykalnych poglądów: po stronie Olrycha Szanieckiego stanęli ci wszyscy którzy nie uważali ordynacji za tabu, oczynszowania włościan za komunizm, szkoły dla chłopów za niebezpieczeństwo publiczne i woleli by z książek korzystało wielu niż nieliczni. Opinia była więc ostatecznie przeciwko margrabiemu, zwłaszcza wtedy gdy w pierwszej instancji jednak proces wygrał. Czy

wygrał go słusznie? Chyba tak. Niewątpliwie, obciążanie ordynacji długami było sprzeczne z prawem: ci co pożyczali poprzedniemu ordynatowi wiedzieli o tym dobrze: pożyczali w nadziei że obali on zakazy prawne, osłaniające mienie ordynackie. Adwokat, sam kupujący mienie swego klienta, nie był najbardziej w porządku. To że w władaniu źle nabytym mieniem wprowadzał słuszne może, a na pewno popularne w opinii zmiany, jeszcze nie uzasadniało jego nabycia. Ufny w swe prawo młody Wielopolski nie starał się kaptować opinii: może mniej ufny w swoje obrotny адвокат chciał ją sobie pozyskać. Proces był w najwyższej warszawskiej instancji i obie strony gotowały się do boju ostatniego, kiedy inny bój odwrócił uwagę opinii. Oto pewnej listopadowej nocy zapłonęła szopa na Solcu i huknęły strzały wokoło białego Belwederu. Strzelanina trwała przez całą noc, a gdy ustała, w Warszawie nie było już ani wielkiego księcia, ani rosyjskich wojsk, na ulicach zaś leżały, między innymi, trupy paru polskich generałów poległych z ręki podchorążych, żołnierzy i spiskowców.

Dwudziestosiedmioletni Wielopolski zgłasza swe usługi „powstaniu listopadowemu,” jak je miano nazywać w przyszłości, a „rewolucji narodowej”, jak to nazywano wtedy. Zgłasza się jednak nie do wojska, lecz do tworzonej właśnie służby dyplomatycznej. Zgodnie z Traktatem Wiedeńskim i konstytucją Królestwo Polskie nie posiadało odrębnej reprezentacji za granicą: na zewnątrz zastępowała je Rosja, podobnie jak za bliższych nam czasów Wolne Miasto Gdańsk zastępowała za granicą Polska, lub Protektorat Czesko-Morawski — Trzecia Rzesza. Jedną z pierwszych, niewątpliwie rewolucyjnych, czynności powstania, było stworzenie polskiego ministerstwa spraw zagranicznych i rozesłanie za granicę polskich misyj. Londyn powierzono Wielopolskiemu. Wyjechał on szybko, jeszcze w grudniu, i echa Olszanki grochowskiej zaskoczyły go już nad Tanizą. Jak się zdało wyjechał ożywiony najlepszymi nadziejami pierwszych dni powstańczych — a także wszystkimi błogimi złudzeniami warszawskich pisemek. Od razu oświadczył przedstawicielom prasy londyńskiej, że przyjechał w charakterze posła rządu polskiego. Było to pierwsze potknięcie. Downing Street i Foreign Office — w Anglii się nie zmienia — mogłyby znać Wielopolskiego w tym charakterze chyba tylko wtedy, gdyby były zdecydowane zerwać z Rosją, a wcale tego nie chciały. Wręcz przeciwnie. „W dzisiejszej sytuacji, mówił ówczesny premier brytyjski Grey, musimy sobie życzyć, aby Rosja jak najprędzej miała wolne ręce i żeby wasze powstanie jak najprędzej było stłumione”. Oto co usłyszał młody „poseł polski” gdy, jako człowiek prywatny, w mieszkaniu osób trzecich, mógł się zetknąć z uchodzącym za przyjaciela Polaków mężem stanu. Darmo powoływał się Wielopolski w późniejszych rozmowach z Anglikami na pomoc jaką Wielka Brytania udzieliła walczącym o wolność Grekom i powstałym przeciw swemu holenderskiemu królowi Belgom: ileż razy na te precedensa powoływali się politycy warszawscy w swych gazetach czy kawiarniach! Ale i tu zwrócono Wielopolskiemu uwagę, że tamte powstania były skuteczne, odnosiły zwycięstwa i wyprawiwały zarówno sułtana jak i króla holenderskiego w olbrzymie kłopoty. Tymczasem, jak informował Wielopolskiego minister zagranicznych Palmerston, polskie powstanie zwróciło się po bitwie grochowskiej z rokowaniami pokojowymi do Rosjan. Stanowisko Wielkiej Brytanii, oświadczone bardzo wyraźnie młodemu margrabiemu, było: „Polska, jeśli dąży do odłączenia się od Rosji, zrywa samowolnie ów porządek międzynarodowy jaki piętnaście lat temu ustalony został za zgodą mocarstw Europy i przy współudziale Wielkiej Brytanii: co innego gdyby car dążył do wcielenia Królestwa do Rosji: wtedy to on byłby gwałcicielem prawa międzynarodowego”. Wielopolski, w odpowiedzi,

starał się dowieść jak częste i poważne były wypadki łamania konstytucji Królestwa przez cara. Ale ponad tymi wypadkami górował jednak w opinii Zachodu widok powstania, — a powstanie podnieśli Polacy. Zresztą, może głównym powodem obojętności brytyjskiej było po prostu to, że Polska leżała daleko na peryferiach brytyjskich zainteresowań, inaczej jak Belgia, czy Grecja.

Pomimo tej zimnej wody zlewanej na głowę, pomimo tych przejrzystych aluzji, że linią obrony Polski powinien być powrót do Traktatu Wiedeńskiego, Wielopolski prowadził dalej tę samą politykę maksymalną, którą mu zapewne zalecono w instrukcjach i którą wyznawała opinia polska. Na sugestie Palmerstona oświadczył, że „postanowienie naszego bycia niepodległymi jest niezmiennie i wytepienie chyba narodu polskiego położyc koniec mu może”. Ci co poszli na Belweder i ci co w sejmie uroczyscie zdetronizowali cara Mikołaja nie mieli by mu nic do zarzucenia. Jednocześnie wy badał Palmerstona na nowy temat: co by powiedziała Anglia gdyby na tronie polskim osadzić któregoś z wiedeńskich Habsburgów? Ale i ta propozycja nie spotkała się z zachętą: minister brytyjski oświadczył, że nie jest to aktualne w obecnej chwili. Stary lis dyplomacji europejskiej, Talleyrand, posłany właśnie do Londynu, zauważał tonem znawcy że „le marquis Wielopolski” jest „miłym i inteligentnym człowiekiem, ale nigdy nie będzie dyplomata”. Niewątpliwie cała londyńska misja była klapą, bo i wymagania polskie i brak zainteresowań angielskich, i niezmordowana energia ambasady rosyjskiej, z księżną Lieven na czele, złożyły się na to. Nawet typowo angielskie „składki publiczne” projektowane na „ofiary wojny w Polsce” nie doszły ostatecznie do skutku. Miał by zorganizować miejaki colonel Jonas, który miał w tym niejaką wprawę, bo zorganizował już takie Relief Foundy na rzecz Grecji, Belgii, Hiszpanii. W ostatniej chwili okazało się jednak że składki na rzecz „głodującej Irlandii” są znacznie bardziej aktualne. Tak więc nie można się było spodziewać nie tylko pomocy politycznej czy zbrojnej, ale nawet dobroczynności. A w Anglii zły to znak, gdy dobroczynność zawodzi. —

W ten sposób wszystkie zabiegi młodzieńczego posła skończyły się niefortunnie, nie z jego przeważnie winy, i całą tę ambasadę powstańczą miała przyozdobić jeszcze resztką romantyczności, zupełnie uboczna już okoliczność. Oto z początkiem 1831 roku przybył do Londynu kurier dyplomatyczny z Warszawy, — oczywiście z niezupełnie honorowanymi papierami. Ów kurier przeprawił się specjalnie przez siebie wynajętym statkiem z Calais (na co się zresztą nie krzywmy, bo podróz odbywał na własny, a raczej mamusin, koszt. Na pewno grubo do niej dołożył, zamiast zarobić na niej jeszcze grubiej, jakby to miało miejsce w bliższych nam, lub nawet całkiem bliżutkich czasach). Misje miał dość niesprecyzowane, a do kraju nie miał już wrócić więcej, w każdym razie za życia. Nader improwizowaną była owa dyplomacja powstańcza; poseł był młodym magnatem, kurier — dwudziestoczteroletnim urzędnikiem Banku Polskiego. Poza tak solidną karierą, przerwana powstaniem, pisywał już wiersze, i właśnie z racji powstania napisał odę która zjednała mu w Warszawie dość przelotną — narazie — sławę. Miała ona urósć niebawem, — i niezawodnie do czasów Jarosława Iwaszkiewicza i Stanisława Balińskiego Rzeczpospolita nie miała równie poetyckich kurierów w swej służbie dyplomatycznej. Ów młody człowiek wysiadł w Saint James Parku i wysłuchiwał tam pouczeń dozorców jak się siada na najetych parkowych krzesłach. Ubierał się bardzo starannie w tym okresie życia, a nazywał się — Juliusz Słowacki.

Po swej londyńskiej klęsce, na przedwiośniu 1831 roku, wraca Wielopolski do Warszawy, omijając z daleka Prusy, a zawadzając za to o Galicję. W międzyczasie umarła mu niedawno poślubiona żona i nowourodzony



syn. Pozostawił ją, wyjeżdżając z kraju, w ostatnich miesiącach ciąży, nie zastał jej już wróciwszy, i prędko wrócił do działalności publicznej. Daje nam to pewien rys tego człowieka. Jak wiadomo, Polacy są na ogół znacznie lepszymi mężami, kuzynami, niż tak zwanymi synami ojczyzny, i właśnie w momentach najbardziej tragicznych dla Polski wykazują niespodziewane cnoty pieczołowitości rodzinnej. W epoce wcześniejszej o jedno pokolenie trzech wyższych oficerów ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego na wiadomość o zaczętej wojnie z Rosją szybko poprosiło o urlopy, — jeden miał starego ojca, który mógł umrzeć, drugi żonę, która miała poród, trzeci jakieś mniej zdeklarowane sprawy rodzinne. Książę Józef oczywiście najprzejmiej zezwolił, — uczucia rodzinne w Polsce były silne i cenione, a patriotyczne dopiero od dwóch lat weszły w modę. Wielopolski był z innej gliny. Zaęwe ne twardszej. Żale rodzinne tłumił teraz pasją z jaką się zabrał do polityki. W Warszawie występuje zrazu jako „radca stanu w wydziale spraw zagranicznych” i jako taki przemawia z „ław rządowych” w sejmie. Imieniem słabego, jak to nieraz u nas bywa, rządu, ściera się tu z liczną, rozszumianą, buńczuczną i pustą opozycją, okazuje się doskonałym mówcą, pełnym logiki i argumentacji. Miękki rząd jest zastraszony swoim sejmowym rzecznikiem, woli ustąpić dla świętego spokoju — i poświęca swego zbyt gorliwego obrońcę w nadziei, że mu to coś pomoże. Oczywiście miało to zgoła odmienny skutek.

Tymczasem właśnie w tym okresie sejm poszerza się o przedstawicieli tak zwanych wtedy „ziem zebranych”, to jest ziem położonych, biorąc z grubsza, pomiędzy Bugiem a Dnieprem, Berezyną i Dźwiną, obejmujących całą Litwę, Wołyń, Podole, Białoruś z Mińskiem i Witebskiem, Ukrainę wpadnie bez Kijowa. Zebrani w Warszawie obywatele pochodzący z tych ziem wybierają, czy raczej wyznaczają, swych posłów na sejm: Wielopolskiego ogłaszają swym posłem grodzieńszczanie, nie zważając na to, że nic go z Grodnem nie łączy. Może nawet inniej niż myśleli. Toteż zaraz mu to wytknie i mandat bezskutecznie zakwestionuje stary nieprzyjaciel, dziś jeden z najradykałniejszych posłów — Olrych Szaniecki. Co mogło skłonić grodnian do tego wyboru? Poza zabiegami, zapewne opinia jaką zdobył sobie Wielopolski, — niestrudzonego szermierza prawicowych i umiarkowanych poglądów. Poza sejmem wyraża je jeszcze w organie skrajnej prawicy warszawskiej zwanym „Zjednoczenie”, — Rada stanu, sejm, prasa. — Lato 1831. — Życie tego człowieka będzie się dzieliło na dziesięciolecia zastoju i na miesiące — czasem tygodnie — niezwykle wzmózonej pracy. Owe lato 1831 należało na pewno do tych ostatnich.

Historycy poprzestawali dotąd na wyliczaniu poszczególnych poglądów czy akcji jakie w tym okresie przeprowadzał Wielopolski. Nie szukali natomiast nigdy jego myśli przewodniej. Otóż jedno jest pewne: gdyby Wielopolski powiedział sobie, że trzeba dążyć do zgody z Rosją, nie mógłby postępować inaczej niż postępował. Czy należy się dziwić temu, że swych kart nie odkrył, że swej myśli wyraźnie nie wypowiedział? Nie był publicystą: był politykiem. Warszawa owego lata rozbrzmiewała nienawiścią do caratu, szumiała wojną, pęczniała nieustępliwością. Czemuż się dziwić? Wszak niedawno pobit Dwernicki Rosjan pod Stoczkiem; wybuchło powstanie na Kresach i Litwie; ofensywa polska poszła szczęśliwie na Siedlce, niemal, niemal — a „niemal” zalicza się u nas za pół dokonania — nie wzięła do niewoli rosyjskich gwardyj razem z bratem cesarskim, wielkim księciem Michałem. Prasa i kawiarnie były pełne Igania, Wawra, Dębów Wielkich, litografie warszawskie tłoczyły dziesiątkami portrety w spaniałych generałów polskich Chłopickiego, Skrzyneckiego, Chrzanowskiego, Dembińskiego, Dwernickiego. Jakżeż okazał wy-

głądały ich groźnie ściągnięte brwi, srebrne wężyki na kołnierzach, opończe zarzucone romantycznie, ramiona dumnie skrzyżowane na bohaterskich piersiach! Wtajemniczeni — a któż w Polsce nie jest wtajemniczonym? — mówili, że widzieli „na własne oczy” odpis noty jaką rządu angielski i francuski właśnie w czwartek posłały do Petersburga: cóż to była za nota! Prawicowcy cieszyli się że Austria (jak zapewnia Zamoyski z Wiednia) sprzyja powstaniu: lewicowcy szeptali o postanowionej przez bliżej niewyjaśnione czynniki rewolucji powszechnej. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Zachód stanie murem za Polską, że armia polska jest znakomita, a zwycięstwo pewne. Kto by nie był zupełnie tego zdania byłby szybko zmuszony do milczenia: czyż nie był najoczywistej złym Polakiem? A Wielopolski? Wielopolski przybył do tej rozmajonej Warszawy jak poseł złej wieści. Wielopolski należał do nielicznych — bardzo nielicznych — ludzi w tej Warszawie którzy już widzieli, że na pomoc Zachodu nie ma co liczyć, — w każdym razie nie w tych warunkach i nie w tych rozmiarach o jakich marzą jego rodacy. A siły własne? Wielopolski widział z bliska tych „następców Kościuszki” i „dziedziców Żółkiewskiego”, owych generałów tak pięknie prezentujących się na koniu w dnie parad, w salonie w wieczór balowy i w upiększeniu zdolnego litografa. Wiedział że są skłóceni, małostkowi, niezdecydowani, doskonalili na dowódców batalionu, gorsi na dowódców pułku, bardzo kiepscy jako generałowie, a zupełnie nie nadający się do tych wielkich zadań jakie naród — wbrew im samym — nieopatrznie im na barki wali. Wszak Chłopicki na pierwszą wieść o powstaniu skrył się głęboko do domu, Skrzynecki polecał swym znajomym wyrazić wielkiemu księciu Konstantemu że jest mu wierny „duszą i ciałem”, a podczas burzliwych dni powstania inny przerażony generał, Chrzanowski, krzychał, że poszuka sobie opieki przed tłumem warszawskim... w obozie rosyjskim. Słowem, owe generalskie lwy, niegdyś naprawdę bohaterskie, pragnęły teraz dożyć swoich dni w spokoju. Wielu z nich przez blisko lat dwadzieścia tułało się po obcych ziemiach i wojnach: czemuż się dziwić, że niebardzo im się uśmiechała nowa emigracja? W dodatku rok 1812 przekonał ich o jednej rzeczy, niedocenianej zupełnie przez powstańcą „gorączkę”. Mianowicie o potęgę Rosji. Wiedzieli oni dobrze, że owe Igania i Wawry, którymi tak zachwycaly się właśnie kawiarnie, gazety i kobiety, to niestety tylko słabe uktucia zadane owej potęgę: rosyjskiego niedźwiedzia nie osłabia, ale rozjusza. Wielopolski, swymi chłodnymi oczyma polityka, widział to samo co oni, wojenni fachowcy. Widział to może jeszcze jaśniej — czy też jeszcze czarniej.

Być może gdyby ten człowiek nie urodził się na ordynata, margrabiego i magnata, byłby sobie może powiedział, że Polskę można zbawić jedynie rewolucją społeczną, — i wtedy, z konsekwentnością jakiej brakło Kościuszcze, ale nie zbrakło Jakubowi Jasińskiemu, rzuciłby się na te wody, widząc w nich jedyny ratunek. Wtedy głosowałby w sejmie za uwłaszczeniem włościan: wtedy nie wykreśliłby z odezwy rządu narodowego do chłopów Litwy i Rusi zapowiedzi zniesienia pańszczyzny: zrobiliby właśnie odwrotnie. Ale, być może że to nie tylko arystokratyczne urodzenie i konserwatywne wychowanie wstrzymało go po londyńskich doświadczeniach od pójścia w ramiona rewolucji. Może zagrał tu jeszcze i realizm Wielopolskiego. Masy chłopskie nie były dojrzałe do rewolucji: najwyżej były zdolne do tego co przyszło w innym zaborze, w szesnastcie lat potem: do rabacji. Ustrój pańszczyźniany sąsiedniej Rosji był jeszcze ogromnie silny, i dopiero w sto lat później nieomal, gdy na skutek uprzemysłowienia wyrósł w miastach proletariats, stać ją było na coś więcej niż nową rzeź humańską czy drugiego Pugaczewa. Pod tym względem młody margrabia mógł oceniać rzeczywistość

słuszniej, niż jego radykalni przeciwnicy, którym zwidywały się po nocach raclawickie kosy od Pilicy do Dniepru. Dość, że wróciwszy z Londynu Wielopolski do programu rewolucyjnego nie przestał. Jednocześnie w program pomocy Zachodu wierzyć przestał. Nie mógł. Gdyby był przeciętnym Polakiem robiłby to co inni, w chwilach czarniejszych pocieszając się może przepowiedniami Wernyhory, że „Anglik sypnie złotem, Francuz wesprze, Turek konie napoi w Horyniu”, albo mniej konkretną nadzieją, że „nad tym wszystkim jest Opatrzność Boża”. Gdyby rozumiejąc co się dzieje dbał tylko o to aby wynieść z tego własne nieskalane nazwisko, pewno by wstąpił do wojska, poparadował w jednym z pięknych ówczesnych mundurów, przy okazji gdzieś tam powalczył. Amnesticę potem otrzymałby łatwo, znacznie łatwiej niż za cywilną polityczną działalność, po czym do końca życia obnosiłby ze sobą z roku na rok rosnący jeszcze, typowy polski nimb chwały wojennej. Jakże niedrogo! Gdyby i na to się nie zdobył, to mógł przecież świetnie wrócić z powrotem do Chrobrza — żałoba po śmierci żony i syna zawsze byłaby w Polsce doskonałym pretekstem — i przeczekałby cicho tych parę miesięcy jakie były jeszcze potrzebne do tego żeby nad Warszawą rozpięły się cienie paskiewiczowskiej nocy. Car puściłby w niepamięć ów wybryk londyński: gorzej było z działalnością poselską w sejmie i to jako posła z kraju który w opinii carskiej był „integralną częścią” Rosji. Jeśli sobie przypomnimy jakie boje staczał Wielopolski o swój okrojony Chrobrz, to docenimy, że owego lata 1831 roku postawił go w całości na kartę. Ryzykował w powstaniu w które nie wierzył.

Jakież plan działania powziął mógł człowiek który wiedział że na pomoc Zachodu liczyć nie można, na siły naszej armii nie sposób, drogę rewolucji ludowej odrzucał, a z tym wszystkim nie mógł stanąć wobec narodu i otwarcie wypowiedzieć nurtujące co obawy? Pozostawało zbliżanie się do celu bez odsłaniania kart. Naszym zdaniem to właśnie on robił. Do celu zaś — kompromisowego pokoju z Rosją nim nie nastąpi zwykła kapitulacja — zbliżał się Wielopolski różnymi drogami. Przede wszystkim zmierza stale, jako mówca i jako publicysta do wygrywania armii przeciwko sejmowi, naczelnego wodza przeciwko rządowi, wojska przeciwko opinii. Jego pismo broni Skrzyneckiego i rozpacza wokół tej nadętej purchawki nimb dyktatorski, później owija się wokół innych „wodzów” a wreszcie, w przełomowej chwili sierpniowej, podsuwa Wielopolski swemu wujowi, generałowi Dembińskiemu, plan zamachu stanu i obwołania własnej dyktatury. Ale Dembiński był nie mniejszym Hamletem od innych polskich wodzów, i gdy przyszło co do czego cofnął się. „Cet imbécile recule!” zawołał ze wściekłością doradca siostrzeniec. Czy dyskredytowanie sejmu, a wysławianie armii, pomniejszanie cywilów, a wynoszenie „wojska”, kult naczelnego wodza i tęsknota do dyktatury wojskowej zbliżały rokowania pokojowe z Rosją? Oczywiście! Wszyscy wodzowie tego powstania, większość generałów, opinia sztabów stanowiły w roku 1831 ośrodek pokojowy, a nie wojenny. Oddanie władzy w ich ręce ułatwiał to o czym marzył Wielopolski: pokój, nim nie będzie za późno. Sejm nigdy by pokoju nie zawarł.

Na drodze do porozumienia z Rosją istniały jednak inne przeszkody, nie tylko techniczno-polityczne. Dwie przede wszystkim. Pierwszą z nich były właśnie owe hasła rewolucyjno-społeczne Warszawy. Drugą stanowiła, poruszona od pierwszych dni walki, sprawa „ziem zabranych”. Wielopolski zwalcza energicznie kierunek rewolucyjny w powstaniu. Przemawia przeciw wolności prasy: przemawia przeciw uwłaszczeniu włościan: uzyskuje — jak wspomnieliśmy — że do odezwy rządu narodowego do Ziem Zabranych nie wchodzi zapowiedź zniesienia pańszczyzny. W trzydzieści lat później znajdziemy go znacznie mniej reakcyjnym.

Dlaczego? Czy nie dlatego może między innymi, że nie chciał by hasła rewolucyjne Warszawy podniecały gniew Mikołaja i utrudniały kompromis? Byłoby to wytłumaczenie. Ale ziemiański sejm i tak nie czuł zbyt wiele nabożeństwa do uwłaszczenia kmiotków i nie kwapił się zbyt do racławickich tradycji. Tu margrabia miał łatwiejsze zadanie.

Znacznie trudniej było z drugą sprawą, sprawą Kresów. W ówczesnym społeczeństwie „ziemie zabrane” — Witebsk, Mińsk, Żytomierz, Humań — były niezwykle popularne. Ich ludowe społeczeństwa spały jeszcze pełnym snem pańszczyźnianym, budząc się tylko co kilkadziesiąt lat do lokalnej rzezi swych panów. Klasą oświeconą owego bezmiejskiego kraju było polskie lub spolszczone ziemiaństwo, i ziemie te były rajem ziemiaństwa polskiego, a miasteczka, aż do prawosławnych popów, rozbrzmiewały mową polską. Tylko na witebskiej Białorusi było już z tym gorzej. W 1815 roku przyznano te ziemie Rosji, Traktat Wiedeński i Aleksander Pierwszy rzucili w tej sprawie Polakom pewne półsłówka, sejmy dopominały się o przyłączenie tych ziem do Królestwa, w liście swym kiedyś do cara postawiłbył tę sprawę Kościuszko. Z nastaniem roku 1831 sejm powołał do swego grona posłów owych ziem. Miało to efekt nie tylko w Polsce, ale i w Rosji. — Oczywiście odwrotny. — Car wykorzystał ów krok polski po mistrzowsku. Na maneżu petersburskim pojawił się przed oczyma oficerów najlepszych pułków rosyjskich. Mogło to być ryzykowne. Od czasu gdy zapoznali się z Europą — w latach 1814-15 — młodsi oficerowie rosyjscy pozarządzali się ostatkiem idei rewolucji francuskiej, pograżyli się w spiskach, po wstąpieniu Mikołaja na tron podnieśli bunt, a ich konspiracje wiązały się z konspiracjami polskich oficerów. Car, w razie rewolucji, nie mógł być pewnym tych ludzi czy przeciw rewolucji polskiej może ich użyć? Ale teraz nie chodziło o rewolucję, ale chodziło o „polskie ręce wyciągnięte w kierunku rosyjskich ziem”. Toteż przemówienie cara powitały „ura” i scementowało przy carze jego armię. Kamerjunker dworu — dziwne w tych czasach stanowiska piastowali wielcy poeci — rzucał Polsce wyzwanie, jeszcze bardziej długotrwałe niż carskie:

Powiedzcie: rychło nam Warszawa  
Narzuci dumne swoje prawa?  
Dokąd się cofnie fortec próg?  
Za Worskłę, Limań czy za Bug,  
I przy kim Wołyń się ostanie,  
Przy kim dziedzictwo ziem Bohdana?  
Czy prawem mieniać praw złamanie  
Powstanie Litwa zbuntowana?

i podczas gdy w Warszawie oddawano się wzniosłym nastrojom, Rosja podniosła się cała do walki. Mikołaj wygrał.

Gdyby Lord Grey i Palmerston czytali po polsku i byli prenumeratorami warszawskiego „Zjednoczenia” to by spostrzegli, może nie bez zadowolenia, że ich londyński rozmówca wygłasza z tych łamów zupełnie inne poglądy niż te które głosił w Londynie ubiegłej zimy. Wtedy gdy reszta prasy grzmi hasłem „Polska w granicach 1772 roku”, na łamach „Zjednoczenia” pojawia się...zachwalanie Traktatu Wiedeńskiego. Traktat Wiedeński był właśnie tym aktem międzynarodowym który odepchnął Polskę — choć jeszcze nie polskość — do Bugu. Jeśli ktoś w powstaniu woła o Traktat Wiedeński, to domaga się wprowadzić szanowania konstytucji którą car łamał, ale rzeka się tym samym nie tylko Witebska i Humania, ale nawet i tego Grodna, które tak nieopatrznie dało Wielopolskiemu swój mandat... Jednocześnie w tym artykule zwraca Wielopolski uwagę na takie miasta polskie których nazwy nie pojawiają się ani w sejmowych debatach, ani w prasie, ani w gwarze kawiarń. W chwili ciężkiej walki z Rosją przypomina naraz...krzywdy jakie zadają Prusacy: „Zaprowadzily

Prusy p.o wszystkich szkołach język niemiecki, zapełniły Poznańskie samymi niemieckimi urzędnikami, miasta i wsie napełniono kolonistami niemieckimi. Poznańskie, jeśli zostanie pod wpływem dotychczasowej administracji, stanie się niedługo prowincją niemiecką". Co to znaczyło? Byłaby to dywersja? Byłoby to rzucanie w oczy opinii: mówicie tyle o Humanium, tak mało o Gnieźnie? Bardzo to być może. I może niepokój wobec takich właśnie głosów podyktował sejmowi w tych dniach gorących prawdziwie rejtanowską, (ale też i tragicznie rejtanowską uchwałę,) której wypadki nie umiały sprostać tak samo, jak Wielopolski nie sprostał zbyt trudnej misji z jaką wysłano go na Zachód, Jakie piękne są słowa tej uchwały! „Polska musi istnieć w odwiecznych swych granicach i każdy z posłów raczej czyn Reytana ponowi, aniżeli by miał na oderwanie najmniejszej części ziemi pozwolić". „Odwieczne granice" były to oczywiście granice z 1772, a nie z 1815 roku. Uchwała — przyjęta jednomyślnie — przypominała nieco uchwałę jaką przeprowadził Sejm Czteroletni w 1790 r., że Polska „nie może być nigdy więcej rozebrana". W dwa lata później nastąpił drugi, a w pięć lat potem ostatni rozbiór polski. Historia uczy, że uchwałami zdobywa się może popularność, ale życia się niestety nie łąta.

Posłowie sejmu powstańczego nie mieli zresztą sposobności ponowienia „czynu Reytana", albowiem nikt ich nie miał już o to prosić. W kilkanaście dni potem całe powstanie jest jak samolot pozbawiony steru, — lub w którym za ster chwytają wszyscy by go kolejno puszczają — i idzie raczej siłą inercji i nielaską wiatrów. Dogorywanie jest długie — cały wrzesień i pół października — ale ostateczne. Jedyną półmediacją jaką przychodzi, przychodzi z Austrii i za późno. Sprawdzają się też wszystkie czarne przewidywania Wielopolskiego. Niewielką bryką, jak tyłu innych, ale nie z wojskiem, chroni się i nasz nieudały dyplomata oraz niefortunny poseł poza kordon pruski. Jego towarzyszem na tej bryczce jest człowiek który podobnie jak tamten kurier londyński przejdzie do kart historii polskiego pisarstwa, tym razem nie poezji. Niedawno ściągał on na siebie błysk szabel oficerskich, kiedy ośmielał się krytykować w prasie naczelnego wodza, niezdarę Chłopickiego. Wkrótce napisze historię owego powstania. Ten nowy towarzysz Wielopolskiego nazywał się Maurycy Mochnacki.

Drezno było zwykle pierwszym postojem emigracji ówczesnej, poprzedzającym ów dłuższy, zwykle nawet bardzo długi postój, jakim był Paryż. Ale Wielopolski nie dojechał nawet do Drezna. Młody magnat należał bowiem do tych co zawrócili z drogi bardzo szybko, — z Rydzyny i niebawem widzimy go już w Krakowie. Kraków jest wolnym miastem, poddanym ościennym rezydentom oraz ich szpiclom, wcale nie bezpieczne miejsce pobytu, ale położone pod bokiem Chrobrza, Książa, Pińczowa i innych dóbr ordynackich. Są one już pod rosyjskim sekwestrem. Taki sam los, a nawet gorszy, konfiskaty, spotkał i owe dobra Jana Olycha Szanieckiego o które przed niespełna dwoma laty toczył się pierwszy proces margrabiiego. Lewicowy adwokat jest jednak w Paryżu gdzie niebawem umrze. Nie sądzimy, aby krakowski wyjazd Wielopolskiego i jego osadzenie się w wolnym mieście było dobrze widziane przez koła Emigracji. Gdybyśmy dziś mieli sposobność pogrzebać się w jej pismach i ulotkach, zapewne natrafilibyśmy na niejeden wyrok, oczywiście „zaoczny" odejmujący Aleksandrowi Wielopolskiemu „miano szczytne Polaka", lub skazujący go „na wieczną z Narodu banicję". I to nie tylko z kół lewicowych, gdzie już na pewno Szaniecki robił co mógł. Także z prawicowych. Oto bowiem z kół prawicowych wychodzi w 1832 roku na emigracji projekt zwołania sejmu. Sejm, wygnany z Warszawy, miał być władzą najwyższą emigracji w Paryżu. Miał przede wszystkim — co też

uczyniono istotnie — obwołać królem Adama Czartoryskiego. Wielopolski był posłem tego sejm-widma. Jego marszałek, Ostrowski, pisał zatem do Krakowa wzywając posła Grodzieńszczyzny do przyjazdu. Przy-  
nagła jeszcze i tym, że do quorum sejmowego, zdolnego powzięcia „prawomocnych uchwał”, potrzeba tylko dwóch głosów. Jednym z tych dwóch był margrabia. Ale Wielopolski nie miał najmniejszego zrozumienia dla sejm na wygnaniu i króla in partibus infidelium. A był to przecież zaledwie drugi rok ówczesnej emigracji i szlagony chodzące nad Sekwaną były święcie i niezbitcie przekonane, że niebawem Francja, Anglia, Austria i Turcja wypowiedzą wojnę Rosji po to właśnie aby im, pielgrzymom polskim, umożliwić powrót do Łęczycy, Berdyczowa i Słucka.

W owym okresie Kraków był pustą dziurą, ale niemniej znajdowało się tam paru przyjaciół politycznych tak samo myślących jak margrabia. Był przede wszystkim Zygmunt Helcel, późniejszy historyk prawa polskiego, był najserdeczniejszy przyjaciel Konstanty Świdziński, (hołdujący z lekka już modnemu panslawizmowi), przyszły zbieracz starożytności polskich i ukraińskich, wreszcie Paweł Popiel który przeżyje wszystkich i pozostanie w pamięci krakowian jako papież późniejszej konserwy, założyciel „Czasu”. Było to towarzystwo ogromnie katolickie, prawicowe do szpiku, legitymistyczne i monarchiczne, a jednocześnie czytające dużo i mające kontakt ze wszystkimi im podobnymi kołami na Zachodzie. Wielopolski był już człowiekiem o dużym wykształceniu: teraz je tylko pogłębił. Myślał nawet o katedrze historyczno-prawnej na uniwersytecie krakowskim, o pracy naukowej czy archiwalnej. Tymczasem jednak jego starania o amnestię się powiodły i przerwały tamte zamierzenia. W 1833 roku wraca do swej ordynacji, w miechowskie, pod same rządy paskiewiczowskie.

Powstanie listopadowe przedzieliło nurt życia narodowego na dwie zupełnie odrębne strugi. Emigracja spalała się w sporach, teoriach, doktrynach i koncepcjach, wydawała mistyków, wieszczów i poetów, polskich komunistów których ideałem była rzeź humaniska, monarchistów roztrzącających wokoło księcia Adama ceremoniał monarszy. W jednym salonie można było spotkać naraz Szopena, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, paru byłych naczelnych wodzów, kilkunastu niedoszłych zbawców ojczyzny. W Kraju było inaczej. Nielicznym pismom wolno było co najwyżej pisać o modach kobiecych, ogłaszać nowe dekrety Najjaśniejszego Pana, w najlepszym razie powiadać o pewnych rolniczych wynalazkach gospodarczych. „Pan Tadeusz” był lekturą za którą groził Sybir: coż dopiero „Kordian”, „Anhelli”, czy „Księgi Pielgrzymstwa”. Toteż dzieła te były na ogół znane bardzo późno, bardzo źle lub niemal nie były znane wcale. Za to ceny zbożowe były dobre, na bydło również, robocizna żadna, albo niska. Warszawa nie miała teraz niemal kawiarni, ale miała lokale nocne i domy publiczne gdzie prowincja szlagońska topiła te pieniądze jakich nie wydała na psy, konie, suknie paryskie, dubeltówki angielskie, czy karty. Emigracja była intelektualna; kraj był szeltopiały, emigracja była eteryczna; kraj był parobczacki, emigracja wyżywała się w piórze; kraj wyżywał się jurnie, ordynarnie, mocno, prosto. Ilość szkół spadła do połowy, opłaty podniesiono, poziom w nich obniżono. Młode pokolenia wyrastały prawie bez żadnej oświaty, niemal bez wykształcenia i nie czuły żadnej jego potrzeby. Na całe szkolnictwo ludowe szło w Królestwie rocznie 32.000 rubli. W młodym pokoleniu ziemiańskim przewodzili ci co umieli zestawić najlepszy zaprząg, których stać było na najlepsze konie i najdroższe dziwki. Prawda, poza tym i obok tego była jeszcze konspiracja. Ale konspiracja była zwykle ogromnie niezdarne i naiwne, a przede wszystkim obejmowała nikłą i szeszupłą siateczkę, rozpiętą jak pajęczyna nad olbrzymim błotem. Oto był świat w który wrócił Wielopolski w którym przeżył najlepsze czasy męskiego życia. Okres pełni sił.

Kiedy to piszę przypominają mi się strony rodzinne Wielopolskiego. Znałem dość dobrze ów Chroberz, Miechów, Książ, Kazimierzę Wielką, w które ugrzęzła na lat prawie trzydzieści energia tego męża stanu. Poznałem je w jakichś latach 1932—1936, — a więc mniej więcej w dokładne sto lat po powrocie krakowskim. Wiele się w świecie zmieniło w ciągu owych lat stu, ale na przepręgu już w jakiejs̄ Wesolej czy Słomnikach, nie mówiąc o dalszej okolicy, miało się czasem wrażenie, że bardzo niewiele. Drogi były tak samo bajorzyste i grzązkie jak chyba wtedy, — bo gorsze być nie mogły; we wsiach omijanych za mroku rzadko błyskały światełka, — nafta za droga; po miasteczkach uwijała się, — może nędzniejsza jeszcze niż przedtem? — żydowska nędza. Wieczorami ksiądz z dziedzicem łupili w preferka, po większych dworach jakieś szczątki dobrych, ale zeszlowiecznych bibliotek, resztki złych kontuszowych portretów, psy po fotelach, dobre konie w stajni. O parę mil od Krakowa kraj za dawna „rosyjską granicą” pograżony był w tym błocie, biedzie i ciemnościach. Wtedy portret Wielopolskiego nabierał jeszcze bardziej ponurych cieni niż te jakie nań rzuca rok 1863 — i Styczeń. Jeśli gdzie i kiedy, to tam i wówczas, musiała się pogłębić jego życiowa samotność. Kogóż tu miał równego, poza nową rodziną którą mu dało, drugie, krakowskie już, małżeństwo, i którą zresztą poddał szybko swej prawdziwej patrii potestas? Nikogo. Byli uległ rządy folwarków, pokorni chłopci ordynacy, usłudźni żydzi z Miechowa czy Pińczowa, dostawcy, totumfacy. Nikt. Byli urzędnicy w Kielcach. Było „okoliczne ziemiaństwo”. Ziemiaństwo okoliczne z dawna nawykło uważać każdoczesnego margrabiiego-ordynata za lokalnego suwerena a siebie za lenników, i jedynie Łubięscy z Kazimierzy nie poddawali się tej łatucie. Czymżeż zresztą było to ziemiaństwo? Jego najlepsze sily wytrzymało powstanie, wygnania czy emigracja, jego poziom umysłowy upadł, moralny się spaczył, finansowy zgubiał, intelektualny nie istniał. Wobec władzy rosyjskiej znali tylko dwie możliwe postawy, albo buntownika, albo przypochebcy, tak jak powstanie znało walkę lub kapitulację. Że postawa buntownika zawiodła, garnęli się tedy do drugiej; przypochebcy. Książki i pisma zagraniczne, francuskie, niemieckie, angielskie — w Chrobrzu dotąd są, a raczej były roczniki tych pism, starannie oprawne, pewno nieraz czytane — przypominały, że istnieje jeszcze jakiś inny, normalny, wolny świat, i że ten wokoło jest produktem wypaczeń. — Jakżeż zastrasający musiał być wtedy obraz skutków walki powstańczej dla człowieka który klęskę wcześniej przewidział, zapobiec jej nie zdołał, a któremu wykształcenie i myślowy kontakt z Zachodem uaozniały to z czego inni nie zdawali sobie tu już sprawy: całą potworność polskiego upadku? Wieczory wiejskie zagubione w tych pińczowskich błotach dawały smutne powody do rozmyślań w każdą rocznicę Listopada. Miało zaś tych rocznic ubiec tu bardzo wiele. Blisko trzydzieści.

Pamiętniki ówczesne przekazały nam olbrzymią ilość ziemiańskich dziwaków, słynących na całe powiaty, czasem na gubernie. Wydawały ich najczęściej Kresy, wydawało Królestwo, a zjawisko to było wówczas tak powszechne, że warto mu się przyjrzeć i ze społecznego punktu widzenia. Chyba co piąty, coś wart człowiek ówczesnego społeczeństwa był „dziwakiem”. Był to jeszcze jeden objaw tej tragicznej, przymusowej, degeneracji w jaką pierwsze z polskich powstań XIX wieku wtrąciło pełną jeszcze siłą i płodną w możliwości warstwę ziemiańską. Okaleczono ją represjami, skuto policyjnym nadzorem, ociemniono odjęciem oświaty, otłuszczone nieróbstwem i bezruchem. Energia jaka w niej tkwiła jeszcze wyżywała się w takich typach dziwacznych. Ludzie co w innych warunkach byłiby fundatorami muzeów wyżywali się w maniackim zbieractwie, niedoszli politycy wpadali w jakieś idées fixes, postępowcy w chłopomaństwo, konserwatyści w reakcyonerów, katolicy w bigotów. Samotność w tej zatęch-

ej głuszy jaką była powstaniec Folska dobrze sprzyjała tym schorzeniom. Tak było z jedyymi przyjaciółmi jakich jeszcze z krakowskiego pobytu posiadał Wielopolski. Któż to byli? Schorzały teoretyk Helcel, ultrakatolik Popiel, dla którego upadek Państwa Kościelnego był wstrząsem może nie mniejszym od upadku Polski, wreszcie zbieracz i szperacz Świdziński, który zdziwaczeje gdzieś na Ukrainie. Żaden z tych ludzi nie był w pełni — jak podkreśla słusznie J. Grabiec — człowiekiem normalnym. Każdy z nich był nieco dziwakiem. Ich kontakt wieloletni — jako jedyńskich powierników myśli — nie mógł nie zaciążyć także i na Wielopolskim.

Jak błędne ognie ukazujące się na bagnach migotały tu i ówdzie mętne światła panslawizmu. Chwytały się przecież nawet Mickiewicza w Parryżu, — miały zwabić do Moskwy i prawosławia Czajkowskiego Sadyka Paszę, — holdował im zbieracz Świdziński. Działacz ziemiański z innych nieco stron Królestwa, hrabia Jezierski, głosi pełną ugodę z caratem i Rosją, wywodząc jakąś rolę odegra Polska po rozplynięciu się w morzu rosyjskim. Tak daleko Wielopolski nie szedł, ale były przecież i inne natchnienia. Były pisma Staszycy. Sława tego politycznego pisarza poprzedniej epoki stała w owych czasach bardzo wysoko, a sprawy jakie poruszał za życia były wciąż jeszcze bliskie. Program zaś Staszycy — to było między innymi porozumienie z Rosją. I jakie jeszcze! Ów prorok polskiej, myśli politycznej Sejmu Czteroletniego, Księstwa Warszawskiego i potem Królestwa Kongresowego pisał przecież ni mniej ni więcej jak wprost o „narodzie”... Słowian. „Kto Europie większe od narodu Słowian uczynił przysługi?... Słowianie był niezłomnym przedmurzem cywilizującej się z nimi Europy... Kto niezliczone hordy Tatarów, Baszkirów, Kałmuków, Kozaków i Turków stale wstrzymywał i rozbijał? Polacy. Kto zburzył i do szczytu zniszczył siedz dziczy kozackiej?... Rosjanie... Kto od jednego z największych wojarzy oswobodził Europę? Rosjanie”. Jak widzimy nawet generał Żeligowski nie miałby tu nic do dodania. Albo taki oto pogląd: „Połączenie i zrzeszenie Słowian w cesarstwo rosyjskim sprowadzi zrzeszenie Europy, zniszczy w niej wojny i nada tej części świata stały pokój”. A jak brzmiały inne słowa Staszycy? „Opuścił nas Zachód: nie chciał mieć w nas wdzięcznych sprzymierzeńców: będzie w nas miał zjednoczonych w słowiańszczyźnie z Rosją — panów”. Oto był program jaki pomimo rozbiorów, Maciejowic i rzezi Pragi wygłaszał wielki pisarz polityczny polski. Margrabia czytał w swym Chrobrzu tego polskiego statystę którego pisma były tak pełne argumentów jak inne pisma polskie frazesów, który posługiwał się cyframi, obliczeniami, statystyką jak inni Grunwaldami i Płowcami, który był mieszczkański, europejski, niemiecki prawie, niczym...jak on sam. Może nie zapalał się do myśli o „słowiańskim” panowaniu Europie, ale pamiętał z własnego doświadczenia słowa: „opuścił nas Zachód”.

W sercu tego człowieka który był z wykształcenia takim europejczykiem jak mało kto w Polsce, ale który jak nikt może w Polsce nie liczył już na Zachód więcej, właśnie bo Zachód znał nie z cudzych opowiadań, kołatała się jeszcze jedna „zachodnia” miłość. Była to Austria. Wielopolski zapewne po dawnemu podziwiał Wielką Brytanię; ale patrzył już nią jak na dalekie słońce, którego blask — niestety — nie stopi lodów nad Wisłą. Francja Ludwika Filipa grzęzła we własnym dobrocybie: Prusy bardzo podziwiał, ale uważał za wroga. — Austria była prawicowa, zachodnia, katolicka, bliska. Tędy — przez Kraków — miał swe okno z Chrobrza na świat. Tu zjeżdżał dla rozmów z Helclem, albo Popielem. Na Austrię stawiali niegdyś Myszkowscy i Wielopolscy, a on sam, potomek tamtych, próbował skierować polskie powstanie na habsburskie wody. Jako arystokrata o ambicjach politycznych musiał widzieć z satysfakcją



jak prawdziwy „pan z panów” — Klemens Lothar książę Metternich — kieruje od lat potężnym państwem Habsburgów. — Otoż ten ostatek sympatyj zachodnich wypali w Wielopolskim grom rzezi galicyjskiej.

Pamiętamy jej przebieg. Kilkanaście lat zastójni pozasypywało wiele wyrw powstańczych. Wyrastało nowe pokolenie, podatniejsze na konspiracyjne posiewy z emigranckiego Paryża. Ustalono nawet datę, kiedy miało wybuchnąć, naraz we wszystkich trzech zaborach, nowe powstanie; ostatnie dni zapustów. Były to zarazem ostatnie dni lutego 1846-tego roku. W styczniu poprzedził ów wybuch wielki zjazd konspiracyjny w Krakowie: wolne miasto, położone na pograniczu pruskim, austriackim i rosyjskim, owiane tradycjami insurekcji kościuszkowskiej, nadawało się do tego znakomicie. Wódz przyszłego powstania udał się następnie w Poznańskie. Ale policja zaborcza czuwała również, — i niebawem Ludwik Mierosławski, ów przyszyły wódz, został przymknięty przez Prusaków. Krakowem zajął się inny zaborca; od Podgórze wkroczyły wojska austriackie. — Nie był to wróg dość groźny. — W parę dni później padły na ulicy Sławkowskiej pierwsze strzały, na Siennej, Szewskiej, Tomasza, ukazały się zbrojne grupy, i Austriacy przerażeni wycofali się z powrotem do Podgórze. Kraków był wolny. Nie zwlekając więc ogłosił powstanie „Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej”, po paru dniach z kolei i „dyktaturę” szefa tego rządu, — Tyssowskiego. Owe pierwsze dni zapowiadały się pomyślnie, zwłaszcza dla zawsze licznych w Polsce optymistów. Z Królestwa — z Miechowskiego — przyciągnęły dwa partyzanckie, powstańcze oddziały, z Wieliczki przyszli górnicy, Austriacy opuścili Podgórze, powstańcy ruszyli ku Bochni. Powstanie zaczynało się rozszerzać, ale Austria miała na nie sposób znacznie lepszy niż swoje wojsko. Rzuciła chłopstwo.

Nędzna, ciemna, głodna i ludna wieś małopolska, podgrzewana przez radykalnych emisariuszy powstańczych, stała się łatwym narzędziem agentów starościńskich. Uspokojeni, że cesarz „zawiesił na kilka dni Boże przykazania”, że władze nakłaniają, że przyszedł „koniec na panów”, zbrojne bandy ludowe rzuciły się na dwory, często i na miasteczka, zawsze na wszelkie napotkane po drodze żywioly obce i inteligentkie. W ciągu paru dni Małopolska Zachodnia, pomiędzy Krakowskim a Rzeszowskim, zapłonęła buntem ludowym, w którym było coś z Pugaczewa i Gonty, a zarazem coś z biurokracji c.k. monarchii. Chłopi mordowali piłami, wykalali oczy, rozrywali na kawałki: starostwa ustaliły tabelę nagród. Za zabitego szlachcica płaciły aż 10 złotych, za rannego już tylko 8, za żywego i zdrowego zaledwie 5. Toteż ilość trupów przerastała wielokrotnie ilość uwięzionych. Po kilku dniach tej burzy ilość ofiar dosięgła dwóch tysięcy. Ziemiańskie rodziny Rydlów, Boguszów, Marynowskich, Sroczyńskich, Łobaszewskich miały po kilku zabitych. Marcina Żurowskiego przetrzęnięto piłą. Wśród zabitych był Marcyan Żeleński, ojciec słynnego później kompozytora. Jego wnuk miał również zdobyć sobie pewne imię w kulturze polskiej, a skończyć niemniej {tragicznie, bo w Oświęcimiu. Nazywał się Tadeusz Boy Żeleński. W każdym razie powstanie było tym razem stłumione w zarodku. Wojsko i starostowie austriaccy bez większego trudu rozbroili lud, do Krakowa wkroczyły oddziały rosyjskie. Po Austriakach nawet diabła przyjętoby dobrze. Rosjan przyjęto niemal entuzjastycznie.

To co nastąpiło potem było może gorszym jeszcze od samej rzezi. Rząd wiedeński otwarcie przyznał się do swego współudziału. Katolicki cesarz dziękował w osobnym patencie chłopom, w innym — urzędnikom, w trzecim straży skarbowej, udzielił ulg pańszczyznianych, rozpiął się w biurokratycznych łaskach. Najzasłużeni w organizowaniu rzezi starostowie otrzymali wysokie orderzy, mniej zasłużeni — austriackie godności

szlacheckie. Monarchia uświęcająca rzeź szlachty — był to istotnie widok niezwykły. Kanclerz Metternich w nocy do dworów i rządów obcych określił pomordowanych jako „agentów komunistycznych”: i ów zarzut przyjął się tak bezkrytycznie, jak nieraz podobne zarzuty. Francuski premier Guizot mówił także o „agentach komunistycznych” w Galicji, a papież wydał breve potępiające...ofiary rzezi. Cała oficjalna, konserwatywna Europa była naraz po stronie Jakóba Szeli. Biedni Bogusze, Sroczyńscy i Dembińscy nie przewidywali że giną jako bojownicy rewolucji. Nie przewidywali i tego także, że nad ich grobami pochyli się niebawem inny akt, bardziej historyczny w przyszłości niż papieskie breve, cesarski patent i kanclersko-książęca nota „W Polsce oni (t.j. komuniści) popierają partię...która wywołała powstanie krakowskie 1846 roku”. Tak, w niejakim Manifeście Komunistycznym, pisał niejaki Karol Marks.

To co było wielkim ciosem dla całego narodu było szczególnie dla Wielopolskiego. Margrabia był nie tylko Polakiem: był jeszcze człowiekiem prawicy: hyl wreszcie człowiekiem Zachodu. Zachowanie się europejskiej prawicy, z papieżem i cesarzem na czele, musiało być dla niego podwójnie obrzydliwe, znacznie bardziej nikczemne niż dla takiego Karola Marksa, który i o papieżu z Rzymu, i o Habsburgu z Wiednia, miał swoje zdanie nader wyrobione, a znacznie odmienne od tego jakie wyznawał katolicki i konserwatywny margrabia z Chrobrza. W oczach Marksa i „Zachód” nie był wcale takim ideałem jak w oczach Wielopolskiego. W Paryżu dostrzegwał Marks nie tylko pałacową świetność Tuileryj, ale i robotniczą nędzę ciasnych przedmieść, a w Londynie poza trawnikami wielkich, pustynnych parków, widział jeszcze slumpsy doków i rudery ówczesnego White Chappel. Tak, rzeź galicyjska miała swe miejsce w systemie myślowym Marksa. Patrzył na nią jako na zjawisko nikczemne, ale łatwe do przywidzenia, mieszczące się doskonale w owym świecie którego mechanizm i prawa tak wyraziście określił w swych pismach. Ale w systemie myślenia Margrabiego to wszystko nie mieściło się wcale. Przeciwnie, burzyło to system. Wielopolski ujął za pióro. Na jesieni 1846 roku ukazywały się dwa pierwsze — francuskie i niemieckie — wydania anonimowej broszury. Nazywała się ona „list szlachcica polskiego do księcia Metternicha z powodu rzezi galicyjskiej 1846 r...”

Nam ten cały zeszlowieczny świat pełen książąt-kanclerzy, margrabiów-polityków i „szlachciców polskich” wydaje się dziś może czymś snobistycznie ciasnym i małym. Ale sto dwa lata temu tak wcale nie było. Owa warstwa szlachecka czy arystokratyczna była i s t o t n ą warstwą rządzącą Europy, i zaledwie we Francji czy Anglii bywało, niekiedy, nieco inaczej. Od Lizbony do Petersburga i od Neapolu do Sztokholmu premierami byli ludzie „dobrze urodzeni” i jeszcze lepiej utytułowani. Myśl, że ministrem może być profesor uniwersytetu wydawała się lekkomyślnym szaleństwem, a pogląd, że robotnicy mogą zrzeszać się w związki zawodowe wystarczał na długoletnie więzienie w większości europejskich krajów. Jeśliby nasz kontynent stał się kiedyś grupą sowieckich republik, to międzynarodowa „kompartia” w nich rządząca byłaby nieco tym czym sto dwa lata temu byli Metternichowie, Górczakowie, Bismarckowie, Tercieri, Thunowie, Wielopolscy, — oczywiście, o ileby oni wcześniej wzajemnie się nie zagryzli. Tytuły, dziś brzmiące staroświecko, wówczas miały sens polityczny, a nazwiska wymienione powyżej były czymś więcej niż ozdoba Herren Klubu z Berlina, Jockey Klubu z nad Newy, Klubu Myśliwskiego z Warszawy, a Kasyna „Końskiego” ze Lwowa. Polemika Wielopolski — Metternich była w owych warunkach tym mniej więcej, czym w dzisiejszych byłaby kłótnia dwóch europejskich quislingów, lub spór socjalisty duńskiego z socjalistą szwedzkim. Miała rezonans nie tylko w salonach, ale i w kancelariach. Była wydarzeniem politycznym.

List był pisany z pasją, z talentem, z logiką. List był wielkim aktem oskarżenia godzącym o s o b i ś c i e w austriackiego męża stanu, w jednego z największych ludzi w ówczesnej Europie, jako w sprawcę jednej z najbardziej perfidnych politycznych zbrodni. I znowu czasy sprzed stu laty były nie tylko okresem kiedy premierowali książęta i hrabiowie, a intrygi siostry cesarza czy ciotki najaśniejszego pana mogły mieć wcale poważny wpływ na decyzje rządowe. Były to jeszcze kiedy żaden rząd nie podpadł swego Reichstagu, żaden premier nie wkroczył po nocy do swych pederastycznych przyjaciół by kierować ich egzekucją — i tylko galowe przedstawienia w operach przypominały ludziom, że były kiedyś jakieś „noce Bartłomieja”, palenia żydów na stosach, lub mordowania po nocy w gościnnym zamku szkockim. — Książę Metternich był dyskretnym, starszym panem, który gdzieś w Sudetach czeskich miał swój Kingswart niczym w Kieleckim margrabia Gonzaga-Myszkowski swój Chroberz. Nawet jego dom wiejski — (zwierzałem go kiedyś przed wojną) — miał rozłożystość, swojskość, bezpretensjonalność właściwą polskim domom na wsi, a jakże inną od westfalskich burgów. Mało sobie robił z europejskiej hołoty, ulicznej czy dziennikarskiej, ale list „polskiego szlachcica”, a raczej wielkiego pana, był wcale innym zarzutem. „Na starość, mości książę, twoja noga poślizgnęła się we krwi”.

Pisany w języku polskim list do Metternicha przeszedłby do historii literatury jako jedna z najostrzejszych polemik w wielkim stylu, znacznie mocniejsza od listu Sienkiewicza do Wilhelma II-giego, od polemik Kollątaja, od kamiennego sarkazmu Niemcewicz. Ale list do Metternicha nie doczekał się nigdy polskiego wydania. Dlaczego? Okazji nie brakło. Pozostaje jedno tylko wytłumaczenie. Margrabia nie chciał. List był bowiem wypowiedzeniem wojny nie tylko niemieckiej Austrii, ale i podaniem ręki słowiańskiej...Rosji. Był to pierwszy, jawny i publiczny, akt Wielopolskiego prorosyjski, a także procarski. Ustępy za carem i Rosją były nie o wiele słabsze niż poprzednie ustępy przeciw Austrii. Publikując to po niemiecku i francusku, Wielopolski chciał działać u góry i na zewnątrz. Francuski język był językiem elity umysłowej, polskiej i rosyjskiej. Był — wraz z niemieckim — językiem najbliższego Zachodu. Do szerszych mas polskich nie chciał autor dotrzeć. Dlaczego znowu? Czy dlatego, że rozumiał, iż postępowanie rosyjskie w Polsce uniemożliwiło wszelki program porozumienia z Rosją? Czy dlatego że nie chciał stawać w szeregach oportunistycznej ugody? Czy nie chciał dopuszczać „mas“ do polityki? Może i jedno, i drugie, i trzecie.

Gdyby Wielopolski poprzestał być na pierwszej części swego listu, byłby zapewne zdobył nim niemięjszą popularność polityczną, jak współcześnie poeta Ujejski swym chorałem „Z dymem pożarów”. Ale Wielopolski był zdania, że jeśli się wskazuje iż pewną drogą iść nie można, to trzeba powiedzieć którą iść trzeba, że polityka nie polega na czystym biadoleniu, ani na wskazywaniu dróg łatwych choć zawodnych. Toteż mimo że swego listu nie ogłosił po polsku, oberwał cieżki od rodaków. W Poznańskim — bardzo gruntownie — polemizował z nim Koźmian, w Krakowie Popiel, na emigracji stary Morawski, a w przejeździe między Paryżem, Rzymem a Opinogorą, Zygmunt Krasieński. Ale w ówczesnej Europie list margrabiego był niemięj wydarzeniem. Był to najsilniejszy, najbardziej donośny, najgłośniejszy protest polski wobec austriackiej zbrodni. Wszystkie inne nie przerwały europejskiej ciszy, gdy jego echa miały jeszcze długo brzmieć w powietrzu. Po wielu latach jeszcze, dziesiątkami wielkich reform, Wiedeń opłacał Galicji wspomnienie swej haniebnej polityki, którą dwa tylko głosy potępiły w świecie równie donośnie, rozdzierając zgodny całun milczenia: Wielopolski i...Marks.

Zawód doznany w Londynie, w grudniu 1830 roku, podciął wcześniej w tym człowieku jego polskie zaufanie do Zachodu. Rzeź galicyjska 1846 roku, dopełniła reszty. Uraz się pogłębił. Odtąd Wielopolski jest już pewnym, że na ów piękny, mądry, światły i podziwiany Zachód jego Polska niewiele może liczyć, — i zwraca się w kierunku świata z którym go naprawdę nic a nic nie łączy. Świata, który nie okazał, że mu na porozumieniu z „bratnim narodem słowiańskim” zależy.

## II.

### PRZED STYCZNIEM

Cała polska opinia publiczna to jest ciotki, gaduły, krzykaczki, stała murem przeciw Wielopolskiemu. Za to Kozmian, Zygmunt Krasieński i General Morawski, którzy w tej czy innej formie odpowiedzieli na wywody margrabiego, urosli naraz do formatu mężów stanu polskiego podwórka. Zwłaszcza mroczny, mętny i nadęty Zygmunt Krasieński wzbudził powszechną admirację swych ciotek. „Quelle belle réponse” pisała jedna z nich o wyczynie polemicznym swego siostrzeńca: „et je voudrais ajouter jak bardzo polska! Oh, je suis certaine que le marquis se rongait les ongles de colere, et c'est bien fait pour lui, car je l'ai toujours trouve assomant. Nie, nie, niech cały naród wywiozą lepiej en Syberie ou jusque dans cette Kamchatka ale z własnej woli mieć nas nie będą”. Wyprawiając szczerą ręką cały naród polski na Sybir ofiarna ciotka-Polka sama wyjechała niebawem, ale tylko do Petersburga. Właśnie na dworze carskim zaczynał się, huczny jak zwykle, karnawał, i ciotka liczyła że niezależnie od nieszczęść narodowych ulokuje jedną ze swych córek za jakim Naryszkinem, Tolstojem czy Oboleńskim. Jak widzimy, wszystko było bardzo po polsku. Patriotka, przybrana w urok nieprzejednanej postawy płaśała po rosyjskich salonach, Wielopolski potępiony przez wszystkich pozostał tymczasem w Chrobrzu.

Ale właśnie w okresie owego karnawału mogło się naraz wydać, że to przecież nie margrabia, ale polscy emigranci na Zachodzie, a Krasieński, Kozmiany i Morawscy w kraju, mieli w tym sporze rację. Na Zachodzie ruszył się bowiem rewolucyjny wulkan. Właśnie w lutym stary król Ludwik Filip przepędził znenawidzonego premiera Guizot'a, tego samego co o półtora roku wcześniej pochwalił Austrię za obrotne przeprowadzenie rzezi galicyjskiej. Guizot od kilkunastu lat przekupiał wprawdzie każdorazowych deputowanych do parlamentu francuskiego, toteż w rezultacie był powszechnie niecierpiany przez wszystkich których jeszcze nie przekupił, już przekupywać przestał, lub też — wedle ich skromnej opinii — przekupywał za mało. Dymisja premiera jest zawsze bardzo przyjemnym wydarzeniem, toteż paryżanie uczcili odejście Guizot'a iluminacją miasta, przy okazji wybuchł zatarg z jakimś oficerem, i oficer ten, zapewne w obronie munduru, kazał dać ognia do tłumu. Ale paryżanie nie lubili jakoś takich igraszek, — i w dwa dni później upadła monarchia francuska. Stary król schronił się do Anglii, arcybiskup Paryża poległ na barykadach, a na tronie królewskim tłum paryski posadził zwłoki za-

bitego robotnika. Paryż przodował światu nie tylko w modach kobiecych, ale i politycznych. Toteż niebawem inne trony europejskie poczęły walić się także. Rok był 1848, a wiosna, jaka się niebawem zaczęła, miała nosić na zawsze miano „wiosny ludów”.

W rzeczy samej można było pomyśleć, że szeptu konspiratorów, artykuły nielegalnych pisemek i wiersze poetów stały się naraz dniem codziennym. Z Rzymu tajnym wyjściem uciekł papież, z Wiednia w jednym ubraniu czmychnął cesarz. W Berlinie błąd król pruski musiał obnażyć głowę przed uwolnionymi z więzienia rewolucjonistami, a króla Ludwika Bawarskiego wyrwali niedyskretni poddani prosto z ciepłych objęć Loli Montez. Co to był za rok! Wydawało się że tym razem naprawdę nastąpił koniec świata. Większe, małe, całkiem małe trony waliły się lub chwiały, w krajach gdzie nie wolno było pisać słówka „konstytucja”, teraz pisano całe szpalty o nowych zbawczych projektach, lokatorzy przedstawiali płacić czynsz; chłop pracować na pańskim, lokaje wstępowali do gwardii narodowych, mieszczenie bawili się w home guard’dzistów. Zdawało się, że tym razem nadeszła też niechybnie owa „wielka wojna ludów” o którą tak gorąco modlił się Mickiewicz. Pod pewnym względem sprawa polska wypłynęła istotnie na powierzchnię, albowiem lekkomyślne ludy chwytając za broń zapraszały sobie na wodzów — polskich generałów. Znakomici ci mężowie byli przeważnie bezrobotnymi od 1831 r., i dość bezskutecznie poszukiwali sobie posad w Portugalii, Belgii czy Egipcie. Nanudziwszy się dosyć postanowili pokazać raz jeszcze co potrafią. Toteż niebawem generał Chrzanowski przegrał w Lombardii, Bem we Wiedniu, Dembiński na Węgrzech. Przegrane nie są zazwyczaj tym, czego się spodziewają narody po swych generałach, toteż sława oręża polskiego nie zyskała na tym nigdzie, prócz, oczywiście, Polski. Tu nikt nigdy nie pytał żadnego generała co zrobił z powierzoną mu dywizją, pułkiem czy brygadą. Wystarczyło, że sam się uratował. Kraj szeptał więc tylko nabożnie tajemnicze słowa że „Polacy się biją”. Pytanie czy biją innych czy też raczej sami są bici, wydawało się wszystkim czymś zupełnie drugorzędnym. Zresztą tylko chyba bardzo źli Polacy mogli w ogóle stawiać sprawę w tak wysoce niepatryotyczny sposób...

Ale i teraz, jakby na złość opinii publicznej, nie stał się żaden z tych „cudów“ na które z roku na rok czekali polscy mężowie starfu, — i na które nakazywali czekać innym. Stało się nawet przeciwnie. W pewnym momencie wody rewolucji zatrzymały się, a niebawem zaczęły w ogóle opadać. W Paryżu zdjęto czerwone sztandary i prezydentem nowej republiki został książę Ludwik Napoleon Bonaparte: droga do nowej monarchii była już otwarta. Do Rzymu wrócił ten sam papież, do Wiednia wprowadził inny cesarz, ale za to ta sama policja. Armie habsburskie zgnioty ognie rewolucyjne Włoch, a wrzód rewolucji węgierskiej przekłuto pożyczonym bagnetem rosyjskim. Wiosna ludów odbiła się tragicznym echem w Galicji, przelotnym w Poznańskim, ale zatrzymała się u wrót zaboru rosyjskiego. To znaczy, że dwie trzecie ziem polskich w ogóle nie zaznały jej wstrząsu. Powoli w Europie robotnicy wracali do fabryk, chłopci do pluga, konstytucje do archiwów, a szpicle do pracy. Na Zachodzie było trochę znośniej. Ale w Polsce było dalej to samo. Nie, nowa rachuba na Zachód zawiodła także. Toteż ciotki hrabiego Zygmunta wróciły z powrotem do mód i do plotek, orzekając iż ich zdaniem polityka jest w ogóle brudnym zajęciem. Hrabia Zygmunt poświęcił się na nowo Delfinie i poezji, a za to Wielopolski, pokazując się w Warszawie, mógł mieć zawsze smutną pociechę, że po niewczasie będą do niego przybiegali ci wszyscy którzy jeszcze pół roku temu uważali go za większego wroga Polski niż samego cara. Nie, nie ulegało wątpliwości, że raz jeszcze ten nieprzyjemny, wyniosły, opryskliwy człowiek miał rację.

Zachód ma za krótkie ręce. Nie dosięgną one do Wisły i spraw nad Wisłą nie zmieniają. A przecież naród marzył nie tylko o Wiśle. Marzył jeszcze o Dźwinie, Berezynie i Dnieprze...

Przez jakiś czas wielki organ emigracji paryskiej, „Wiadomości Polskie” dowodził, że jeśli zawiodły „ludy”, to przecież nie zawiodą „gabinety”, to jest rządy zachodnie, i że to czego nie dokonała burza rewolucyjna, zostanie dokonane przez chłodny plan mężów stanu. Jest więc jeszcze pewna nadzieja. I istotnie, wybuchła wojna krymska. Okazało się, że Zachód nie będzie tolerował każdego pochodu rosyjskiego, ani każdej ekspansji rosyjskiej, że w pewnym momencie potrafi też powiedzieć „nie”, i że potem ów moment będzie dla Rosji bolesny. Kiedy więc car zagroził Turcji, doszło do wojny. U boków sultana stanęły armie królowej Wiktorii, i cesarza Napoleona III, który, jak widzimy, potrafił szybko porzucić tytuł „księcia-prezydenta”. Nawet mała Sardynia która jeszcze nie była królestwem włoskim, przyłączyła się do tej wyprawy na Rosję, w nadziei że za męstwo swych pułków nad Morzem Czarnym otrzyma zapłatę we Włoszech. Naraz, ku niespodziance Rosjan, bandery kilku narodów przepłynęły Bosfor, międzynarodowy desant wylądował na Krymie, i gazety przez szereg miesięcy były pełne wiadomości o żuawach, cholerze, Sebastopolu, Malakowie, szarży pod Balakławą. Przystąpiono do organizacji międzynarodowej instytucji którą nazwano „Czerwony Krzyż”, a królowa Wiktoria stworzyła nowy order wojenny: Victoria Cross. Jeśli w obecnej wojnie któryś z Rosjan dostałby to wysokie odznaczenie brytyjskie, to byłby to tylko pewien zwrot; albowiem krzyże Victoria Cross są odlane ze spiżu rosyjskich armat zdobytych przez Anglików na Krymie...

Nauka, jaką w wojnie Krymskiej otrzymała Rosja, była bolesna, ale bardzo pożyteczna. Okazało się bowiem, że żołnierz rosyjski jest wprawdzie doskonały, ale nie dość doskonały, żeby zawojować świat; okazało się także, że Zachód może czasem zagrozić drogi życiowe Rosji; wreszcie okazało się, że Rosja znalazła się w tragicznym momencie całkowicie bez sojuszników. Prusy którym car Mikołaj wyświadczył lekkomyślnie tyle przysług, pozostały cicho, choć jednym wypadem nad Ren mogłyby wprowadzić Francję w bardzo paskudną sytuację. Jeszcze więcej zawdzięczała carowi Austria, którą przecież w okresie rewolucji węgierskiej uratowały tylko rosyjskie pułki; i Austria w ostatecznej chwili sama zagroziła wystąpieniem przeciwko Rosji. Obok zwycięstw alianckich na Krymie był to ostatni cios, po którym przyszła nagle i dość tajemnicza śmierć Mikołaja I, oraz prośba syna jego — zwał się Aleksander II — o pokój. Pokój ten uratował Turcję, osłabił Rosję, wzmocnił Anglię na Bliskim Wschodzie, a Napoleona III w Paryżu, nieco poprawił szanse biednej Sardynii oraz całkowicie zignorował Polaków. Pominięto ich zupełnie. W traktacie pokoju, na konferencji mocarstw, wszędzie. Wbrew zapowiedziom tylu światłych, cenionych i podobno „znających Zachód” Polaków po raz nie wiem już który doznaliśmy zupełnego zawodu. Po raz też nie wiedzieć który, wbrew tylu uroczystym obietnicom, Opatrzność Boska nie uczyniła cudu. I raz jeszcze, jakby na złość wszystkim, rację miał cet assomant Wielopolski. Było to ogromnie przykre dla przyjaciół pompatycznego generała Morawskiego, dla tych co cenili bystrość myśli starego pana Koźmiana, oraz do familijnego gremium admirałtorów, a zwłaszcza admirałtorów, długonosego hrabiego Zygmunta. Ale trudno, nie było rady, nie można było nawet przeinaczyć. Doprawdy, los się był zawziął na tę nieszczęsną Polskę. Wszyscy mylili się tu zawsze, i rację miał zawsze samotny w tym kraju: Aleksander Wielopolski.

Nadomiar złego zaczęła się zmieniać pewna sytuacja wewnętrzna, a ponieważ w Polsce tylko śmierci mogą przynosić jakieś zmiany, więc też zmieniała się poprzez śmierć. Najpierw jakeśmy rzekli, umarł główny

wróg Polski car Mikołaj. Śmierć ta oznaczała bardzo wiele. Mikołaj I był bowiem jednym z najbardziej klasycznych monarchów z Bożej łaski jakich ziemia kiedykolwiek nosiła. Historycy jacy pomawiali go o nacjonalizm nie mieli racji. Był to przede wszystkim car absolutny, któremu Filip II hiszpański, łacinnik i ultra katolik, Ludwik XIV francuski, lub którykolwiek z wiedeńskich Habsburgów, był stokroć bliższy duchem niż otaczający go rodacy i współcześni. Ten car był kosmopolitą legitymizmu. Gdyby mu dano do wyboru aby był nadal królem z Bożej łaski, ale w Brazylii, lub też aby pozostał władcą w Rosji, ale władcą konstytucyjnym, jak jakiś Ludwik Filip, czy królowa Wiktorja, na pewno ten car prawosławny zapakowałby do walizy parę ikon i odznak pułkowych — i wyemigrowałby do Brazylii. Jeśli ten car nienawdził Polaków, to przede wszystkim dlatego, że buntowali się przeciwko temu ustrojowi państwowemu który jemu, Mikołajowi, najbardziej się podobał; to że Polacy mówili inną mową niż Rosjanie, chodzili do kościołów a nie do cerkwi i mieli w herbie białego, a nie dwugłowego orła, to byłyby jeszcze usterki zupełnie do darowania. Mikołaj I nienawdząc buntowniczych Polaków czuł się za to do solidarności ze swym sąsiadem, z Bożej łaski królem pruskim i drugim swym sąsiadem, z Bożej łaski cesarzem austriackim. W jego oczach Czesi albo Karpaccy Rusini z Użhorodu, buntujący się przeciwko temu cesarzowi, byłiby tylko buntownikami, równie wstrętnymi jak Polacy; a Rosjanie z młodszej generacji jacy w tych ludach widzieli pobratymcze szczepy, wydawali się mocno podejrzani o niebłagonadiożność. Ale jego syn Aleksander II był innym. Widział w Rosji konieczność, niewyraźnych co prawda, reform, doceniał ogrom cywilizacyjnego dystansu jaka rośnie z każdym rokiem między Rosją a Zachodem, a wreszcie rozumiał że jego ojciec był Don Kiszotem wśród monarchów europejskich; śpieszył im zawsze na pomoc, ale oni jemu nie odwziedczyli się nigdy. Gdzie szukać aliantów? Od Adriatyku aż po Bałtyk, i od Morza Czarnego aż po Odrę leżały ludy wchodzące w skład obcych państw, podległe obcom sobie berłom, a mówiące mową zbliżoną lub pokrewną tej wielkiej mowie jaka szumiała poprzez ziemie rosyjskie potężnym splywem Wolgi. Nie, Aleksander II nie miał wiele serdecznych uczuć dla swoich kuzynów z Berlina, czy sąsiadów z wiedeńskiego Schönbrunu. Natomiast wiedział, że po wsiach słowackich, po monasterach serbskich, wśród inteligentów kaszubskich i etymologów czeskich mówi się wiele o Rosji podczas długich wieczornych rozmów, — a zarówno rosyjscy poeci, jak petersburski wywiad i cesarska dyplomacja powiadamiały go, że to wszystko są przeciwieństwa siły które nie byłyby warte uwagi.

Mniej więcej w rok po śmierci Mikołaja I zmarł jeden z jego głównych współpracowników, mianowany przez niego hrabią, feldmarszałkiem oraz dwa razy księciem, a wreszcie faktycznym wice-królem Królestwa Polskiego. Srogi książę Paskiewicz-Erywanski-Warszawskij rządził Warszawą i krajem od września 1831 r., i był to prawdziwy książę udzielnny, który z jednej strony trzymał krótko Polaków, z drugiej strony odpychał od Warszawy ingerencję petersburskiej centrali. Następcą jego został chwilowo stary generał Wincenty Krasiński który swe przywiązanie do Napoleona przeniósł z kolei na trzech po sobie następujących rosyjskich carów, a piękną kartę legionową na polach bitew od Madrytu po Moskwę uzupełnił w późniejszym wieku czterema dziesiątkami serwilistycznych lat. Był to, jak wiemy, ojciec Zygmunta Krasińskiego. Ale Wincenty Krasiński umarł również dosyć prędko i przy jego trumnie naród zapomniał o wszystkich wyrzutach jakie mu robiono: namiestnik carski był chowany z pompą jaką Polacy lubią roztaczać przy pogrzebach.

Wszystkie te śmierci odmieniały polityczne oblicze kraju: zamiary reformistyczne cara dochodziły echemi nad Wisłę: po klęsce krymskiej Rosja

czuła się mniej pewna, rosyjski żandarm i urzędnik był mniej hardy. A wreszcie ktoś co chciał pozyskiwać sobie Słowian ujarzmionych nad Wełtawą, Dunajem, Wagiem, a może i Odrą, nie mógł rządzić nahajem nad Niemnem i Wisłą. Oto jakie zmiany nastawały w tym kraju po bardzo długim okresie zastoju.

Los sprawił, że przychodziły one wtedy kiedy Aleksander Wielopolski był u kresu sił męskich, a na progu starości. Najbardziej znane jego portrety dochowały się właśnie z tych czasów. Widzimy na nich, otyłego, starszego pana, o krótkich siwych i zmierzwionych włosach, o bokobrodach które nadają twarzy nieco lwi wygląd. Zawsze ma na tych portretach brwi ściągnięte ponuro, jakiś gniewny wyraz w ustach i tylko zarys brody i układ szczęk znamionują w tym człowieku jego dawną, zapisaną przez współczesnych, wolę.

W tym właśnie okresie margrabia był już nawet dziadkiem. Na parę lat przed wojną krymską jego syn Zygmunt ożenił się z austriacką arystokratką, księżniczką de Montenuovo. Wzmiankujemy o tym małżeństwie, bo narobiło ono wiele złej krwi, w wielu arystokratycznych salonach które wówczas urabiały poglądy polskie i powiększyło walnie niepopULARNOŚĆ Wielopolskiego. Synowa margrabiego była nie mniej nie więcej tylko wnuczką pierwszego austriackiego cesarza — tego samego na cześć którego ułożył Haydn swój melodyjny „hymn ludów”. Była to bowiem córka owej arcyksiężniczki Marii Ludwiki która była żoną Napoleona (i matką „Orlątką”), po jego upadku została księżną Parmy, a jako kochliwa i rozbudzona kobieta wyszła niebawem zamaż, oczywiście morganatycznie, za następcę jej przez Metternicha generała Neiperga. Potomstwo nosiło tytuł księżąt Montenuovych i jedna z nich właśnie wniosła w dom Wielopolskich swe habsburskie alianse, włoski tytuł, a także klejnoty, darowane ongiś Marii Ludwice przez samego Napoleona.

To świetne małżeństwo podniosło oczywiście prestige Chrobrza, ale jednocześnie wzmogło niesłuchanie owe drobne zawistki i zawiści jakich już tyle zdążył nagromadzić wokoło siebie margrabia. Młody Wielopolski, przystojny i sympatyczny, był przecież świetną partią dla niejednej Krasin-skiej, Tyszkiewiczówny, Radziwiłłówny czy Potockiej; a tu jakaś cudzoziemska wywłoka sprzątnęła go sprzed nosa! Po drugie, w polskiej arystokracji takie świetne małżeństwa europejskie były w gruncie rzeczy bardzo nielubiane, zwyczaj małżeństw wśród kuzynów i kuzynek dogadzał najlepiej zasadom wzajemnej równości Tarnowskich i Potockich. W Warszawie powiedziano sobie że pycha margrabiego będzie teraz „bez granic”, — i w ten sposób nawet taki drobiazg miał dla przyszłej kariery starego samotnika z Chrobrza niepomysłne, a nie najmniejsze, znaczenie. A właśnie ze społeczeństwem trzeba się było niebawem bardzo poważnie liczyć.

Ale pogłębiona niepopULARNOŚĆ wśród tej wpływowej, lecz szczupłej warstwy nie byłaby jeszcze wystarczająca. Cóż, gdy niebawem poszerzył ją wypadek inny! Był to znowu proces. Wielopolski — pamiętajmy o tym — był prawnikiem z wykształceniem, nie tylko filozofem i jego wiedza prawnicza kojarzyła się dobrze z temperamentem zapalczywym, wojowniczym, nie uchylającym się przed walką. Już kiedyś stoczył taką walkę w celu odzyskania utraconych połaci Chrobrza. Teraz — w latach 1857-1860 — miał ją stoczyć o inną stawkę. Także zresztą chodziło, acz odmiennie nieco, o Chrobrze.

O tym bowiem czasie zmarł był na Ukrainie Konstancy Świdziński, przyjaciel całego życia, powiernik wielu trosk i rozmów. Był tak samo jak wielu ludzi w tym kraju synem zmarnowanej warstwy, której anormalne warunki polityczne niewoli nie pozwoliły się wybić. Pomnożył, i on także, ilość dziwaków. Snuł mętne koncepcje słowianofilskie, po trosze i ludowe, poróżnił się z rodziną, wyniósł na Ukrainę, skąpił i sknerzył.



Ale jednocześnie zgromadził zbiory wszelkich krajowych starożytności, i zbiory te były skarbem ogromnym. Powiadano, że przekupiał mnichów prawosławnych po klasztorach, służbę biskupią, archiwariuszy rosyjskich, osobście zaś okradał z cennych dokumentów swych kuzynów czy przyjaciół ziemiańskich. Roztrwonił na to całą fortunę i resztę życia. Ale też zebrał naprawdę rzeczy nieocenione, i zwłaszcza historycy ukraińscy i rosyjscy oparli się na nim. Co się stanie z tymi zbiorami? Świdziński dawno już to przewidział; zbiory jego dostaną się Zygmuntowi Wielopolskiemu, synowi przyjaciela; w Chrobrzu, a może w Warszawie, powstanie w tym celu fundacja, powierzona Wielopolskim. Ostateczny zapis nie był zbyt wyraźny. Mówił o fundacji, mówił też o Wielopolskim. To pewna, że wydziedziczał rodzinę. Po śmierci Świdzińskiego, Margrabia zebrał te zbiory z różnych miejsc, przewiózł do Chrobrza i począł budować okazały gmach na ich przyjęcie. W ten sposób Chroberz stałby się nie tylko rezydencją magnacką, ale narodowym przybytkiem pamiątek.

Świdzińscy jednak nie myśleli o odejściu z kwitkiem, a przynajmniej pomyśleli o tym, aby to co im odjęto nie dostało się i ich konkurentowi. Proces przeciw Wielopolskiemu o oddanie im spadku chybiłby celu. Wola Świdzińskiego wydziedziczająca rodzinę była sformułowana wyraźnie. Proces Wielopolski-Świdzińscy nie interesowałby ogółu. Utraciwszy nadzieje odzyskania spadku dla siebie, Świdzińscy postanowili jednak nie dać go i Margrabiemu. Trzeba przyznać, że zabrali się do tego umiejętnie. Wszedł w kontakt z opiekunami zbiorów ustanowionymi zapisem: zaatakowali nie sam zapis, ale myśl umieszczenia go w Chrobrzu. Czyż nie lepiej stworzyć gdzieś w Warszawie ogólno-narodową fundację? Sprawa tak postawiona mogła poruszyć opinię. Nie był to już spór o to czy pewien majątek i zbiory przypadną tej czy innej rodzinie ziemiańskiej. Teraz chodziło o to — przynajmniej z pozoru — czy będą one własnością „narodową”, ogółu, czy prywatną, magnata: czy będą w Warszawie pod boki wszystkich, czy też w zapadłym Chrobrzu: czy do rządu różnych społecznych godności, prezesur czy kuratorstw, przypadnie jeszcze jeden tytuł; kuratora zbiorów po Świdzińskim? Ceniono wówczas w Warszawie takie tytuły jeszcze bardziej niż za naszych czasów. Poważny ziemianin, marszałek szlachty wołyńskiej, szambelan cesarski, czuł się dopiero szczęśliwym gdy mógł piastować jeszcze tytuł „kuratora szpitala świętego Rocha”: bohater jednej z nowel Sienkiewicza pisał na swym bilecie: „były radca stanu w byłej radzie stanu Królestwa Polskiego”. Był to szczegół, ale nie najmniejszy ważny.

Czy możemy tak bardzo dziwić się Margrabiemu, że zbiorów nie chciał oddać? Któż by je oddawał? Były zapisem przyjacielskim, na pewno nie wyludzoną. Przymnażały tak pięknie prestige rodzinnego Chrobrza. Zajął się nimi tak pieczołowicie nazajutrz po śmierci Świdzińskiego. Budował dla nich pomieszczenie istotnie okazałe. W dodatku Wielopolski wiedział dobrze jak wyglądają w polskiej praktyce podobne fundacje narodowe, oddane w ręce „przedstawicieli społeczeństwa”. Czy nie lepiej, gdy będą one pod strażą rodziny o tradycjach kulturalnych, gdzie świętość nazwiska będzie nakazywała pieczę spuścizny? Dość, że Margrabia odpowiedział odmownie. Rozpoczął się proces. W trzech instancjach wygrywał go Wielopolski. Za każdym razem przegrywał go w opinii.

Do opinii polskiej wszystkich czasów rzadko kiedy przemawiało chłodne, logiczne i formalne rozumowanie prawne: znacznie silniej przemawiały frazesy. W tych ostatnich Świdzińscy byli na pewno znacznie zrzęczniejsi niż Margrabia. Być może że on, po prostu, nie zniżał się do tej broni. Im bardziej anarchiczną, samowolną i kapryśną bywa polska opinia, tym częściej zwalcza wybitne, lecz samotne jednostki, tym skorzej przeciwstawia im popularne zera i miernoty. Pamiętajmy, że kraj nie miał normalnego

życia politycznego, parlamentu, rządu, prasy wolnej, wyborów. Toteż zebrania jakiegoś Towarzystwa Rolniczego stawały się namiastką sejmu którego nie było, zarząd jakiegoś towarzystwa dobroczynności rodzajem rządu in spe, bal politycznym zebraniem, wenta wiecem, sala sądowa trybuną. W normalnie żyjącym kraju proces Wielopolski-Świdzińscy byłby tylko procesem; tu stawał się polityczną sprawą. Przed sądem Margrabia ją wygrywał; przed opinią przegrywał. Przepomniano sobie „list szlachcica polskiego do księcia Metternicha”; z Paryża „Wiadomości Polskie” dogrzewały wspomnieniami z 1831; a i proces Szanieckiego powracał echem sprzed laty trzydziestu. Portret Wielopolskiego zarysował się jako formalisty, obstawiającego się zreżnicie paragrafami, chciwego na własny zysk, obcego na „dobro narodu”. Jak wiadomo, czym większe u nas kanale, tym częściej dobro narodu mają na ustach, a przemawianiem w imię narodu trudnią się zawsze ci co do tego najmniejsze mają prawo. — Toteż Wielopolski musiał być przegrany.

Kiedy Świdzińscy znowu podjęli proces, uprzednio już przegrany we wszystkich instancjach, Margrabia osądził, że dość w to włożył pieniędzy i energii. Poszedł więc na kompromis. Zbiory przeszły do Warszawy. W pamięci ludzkiej pozostała po tylu sporach tylko sylwetka samotnika, idącego w poprzek dążeniom narodu, nie bacznego na wskazania opinii, na głos publiczny, i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Było to bardzo złe przygotowanie, aby zostać wodzem tego społeczeństwa. Ale też miało ono innych kandydatów na wodzów.

\* \* \*

Owo społeczeństwo z którym Wielopolski był tak wytrwale na bakier, nie nosiło już, rzecz jasna, kontuszy, nie jeździło na sejmiki i trybunały, ale było w dalszym ciągu społeczeństwem nie tylko ziemiańskim, lecz szlacheckim. Pełno pań trzymających salony w Warszawie było córkami autentycznych wojewodzin, kasztelanowych, podskarbin i podkomorzyn z ostatnich lat Rzeczypospolitej: wielu ludzi bywających na sali jadalnej „Europejskiego” hotelu było synami posłów Sejmu Czteroletniego, wnukami Targowiczan, ba, nawet — jak powieściopisarz Henryk Rzewuski — po prostu ich synami. I obyczaj był ten sam. Cóż mogło go zmienić? Miasto było ubogie, dość niemieckie i dość żydowskie; o wsi nie ma co gadać; inteligencję miejską wydrenowało z jej najlepszych sił tamto, listopadowe, powstanie, emigracja i ucisk paskiewiczowski. Dopiero się odrabiała. Przeto, pod pozorami nowych czasów, nurtowało dawne życie. Tym nawet podobniejsze do dawnego — to jest „saskiego” — że popowstaniowy upadek oświaty przekreślił to co zrobiły czasy Stanisława Augusta. Powiększył ciemność.

Spółeczeństwo szlacheckie dawnej Polski odnajdywało w regionalnych magnatach swych wodzów, opiekunów, przewodców. W XVII czy XVIII wieku Litwa głosowała jak jej kazał Radziwiłł: Ukraina, wedle Potockich: w reszcie Polski wykraiwali sobie „sfery wpływów” Czartoryscy: pomniejsi, jak się dało. Ale w XX wieku z odpadnięciem Litwy skończył się radziwiłłowski Nieśwież, z przyłączeniem Ukrainy do Rosji dzieje Tulczyzna, Niemirowa czy Sofiówki Potockich: a powstanie listopadowe dało wprawdzie Czartoryskim widmowy tron w paryskim Hotel Lambert, ale przekreśliło skonfiskowane przez cara Puławy. Trony magnackie zatem padły. Jeden pozostał. Zamość. Zamość, a ściślej Klemensów, był dalej w rękę Zamoyskich. A Zamoyscy należeli do najpierwszych magnatów polskich, lepszych — na to zważano wtedy — od Wielopolskich. Lepszych znaczyło także bardziej wpływowych. A także bardziej polskich.

Można by bez wielkiej przesady utrzymywać, że niemal każda dynastia magnacka w Polsce posiadała swoją fizjonomię, dziedziczną przez wszystkie wybitniejszych przedstawicieli rodu, pospółu ze srebrami, borami, stadninami i nazwiskiem. Radziwiłlowie byli ambitni i rządni, gdy Czartoryscy ambitni i marzycielscy; Potoccy patrzyli na majątek i popularność; Sapiehowie byli zabijający i z gestem, nieraz płytkim zresztą. U Zamoyskich przeważała szlachetność i — frazes. Ongiś, z wielkim Janem Zamoyskim, który w jednym ręku kupiał za dwóch królów buławę hetmana i pieczęć kanclerza, niczym godność naczelnego wodza i premiera w naszych czasach, ród ten wyrósł ze średniej szlachty, na barkach masy szlacheckiej, do magnaterii. Dla mas szlacheckich XVI w. Jan Zamoyski był takim samym „trybunem ludu” co Wincenty Witos dla mas chłopskich XX-tego. Tak samo jak później Witos ziemiaństwo, tak tamten spychał oligarchię, aby dać miejsce, władzę i ziemię olbrzymim rzeszom chodackich, jednodymnych i półwłókowych szlachciców, na pewno nie wiele zamożniejszych, a jeszcze pewniej nie oświeceńszych od tych chłopów co w 1922 roku oddawali swe głosy na listę „Piasta”. Prawda, że sam Jan Zamoyski poszedł potem „w wielkie pany”, jego dziedzice w senatory, że Zamość stał się jedną z największych ordynacji w Polsce, wielokrotnie większą od margrabskiego Chrobrza. Ale coś przecie pozostało z tych demokratycznych zaczątków, i Zamoyscy byli czymś bliższym braci szlachty niż inni magnaci, bardziej się kumający z nimi a także, z nawyku atawistycznego, radzący jak ich tam stać było, o „dobru rzeczypospolitej.” Panie Kochanku Radziwiłł tyle że pił i bredził; oni jeszcze radzili. Gorzej, mądrzej, całkiem niemądrze, dostosowując się zwykle do ogólnego poziomu ziemiańskiej umysłowości, — ale radzili. Teraz tak samo radził „pan Andrzej”.

Był to kolejny ordynat zamoyski, pan na Klemensowie, największy właściciel ziemski w Królestwie Polskim. Jego brat, generał Władysław Zamoyski, człowiek o niepospolitym uporze, zaciekłości, charakterze, doktrynerstwie, był jednocześnie na emigracji istotną sprężyną paryskiego hotelu Lambert Czartoryskich, premierem-widmem polskiego „króla-widma” — księcia Adama. Poglądy „pana Andrzeja” były mniej namiętne, może łagodniejsze, ale pewno nie inne. W 1831 roku posłował imieniem powstania do Wiednia, potem został w kraju, zapewne aby nie dać upaść olbrzymiej ordynacji, i odtąd..., „czynił w swoim kółku co każe duch Boży”. Był to w każdym calu jak najbardziej przeciętny człowiek. Gdyby nazywał się Wolski, albo Klemensiewicz, albo Porzecki, to jest gdyby zamiast Zamoyskim był sobie przeciętnym szlachcicem ziemiańskim spod tego samego Zamościa, nawet w jego powiecie słyszanoby o nim mało. Tyle że czytałby więcej niż inni (nie o wiele więcej); że gospodarowałby nieco lepiej niż inni — (ale też tylko nieco), i że jego spokojny, flegmatyczny temperament umożliwiłby mu żywot mniej wódczany, szampański, karciański i dziwkarski niż bardziej jurnym od niego szlagonom powiatu. Margrabia nie urodziwszy się Wielopolskim wybiłby się zawsze; pan Andrzej Zamoyski, nigdy. Margrabia urodziwszy się synem szewca dorwałby się kiedy do barykad, Sybiru, emigracji, szubienicy; urodziwszy się synem jakiegoś koncypienta czy belfra wyszedłby na konspiratora, wydawcę nielegalnych pism, emisariusza, komunarda. Pan Andrzej jako syn każdej innej warstwy a nawet rodziny, nie wybiłby się wcale. Gdyby Polska żyła normalnym życiem jakiejś Belgii, Francji ówczesnej czy Prus, zajmowałby co najwyżej drugorzędne stanowisko, też zawdzięczone zresztą nazwisku i fortunie. Ale w stosunkach ówczesnej Polski wyrósł na postać polityczną.

W owym ciemnym okresie, kiedy to Wielopolski z Chrobrza czmychał choć do Krakowa, by uraczyć się przynajmniej lekturą nowych numerów „L’Avenir’u”, „Revue des deux mondes” czy czymś w równie katolickim

guście, pogwarzyć z Pawłem Popielem i Zygmuntem Helclem, pan Andrzej osiadł w swym Klemensowie, na ordynacji obejmującej coś trzy powiaty, tonącej w lasach i w mroku epoki. Obowiązkowość, właściwa Zamoyskim nawet wtedy gdy biorą za ciężkie na siebie obowiązki, kazała mu szukać w czym byłby przydatny. Skromność — pan Andrzej miał i tę, częstą u Zamoyskich, cechę — powiedziała mu, że nie wiele czym. Ale przecież dobrym gospodarzem mógłby być? W tym miał rację. Andrzej Zamoyski otałał się za młodu o Zachód. Uczył się w dobrych pensjach szwajcarskich, oraz na uniwersytecie...edyńburskim. Ponieważ wtedy nie panowało jeszcze w Polsce zdanie, że zajęcia natury koszarowej są najwłaściwsze dla młodzieży, przeto mógł owe studia skończyć. Gospodarować zaś lepiej niż przeciętny ziemianin polski było o tyle nie trudno że trudno było w ogóle gospodarzyć gorzej. Polacy mieli o sobie wyobrażenie że są zawołanymi wojskowymi i urodzonymi rolnikami, gdy w istocie, jak o tym dzisiaj wiemy, nie byli ani jednymi ani drugimi. Co najwyżej materialem na to. Nie, trzeba było koniecznie upodobnić polskie rolnictwo do Europy: a któż nie ma dać przykładu, jeśli nie ten co jest „pierwszy w powiecie”? I to niejednym powiecie. Ale jak? Pan Andrzej znał naturę szlachecką. Począł tedy w określonych okresach spraszać do siebie ziemiaństwo z daleka i z bliska na kilkudniowe zebrania. Snobizm, łakomstwo — kuchnia w Klemensowie uchodziła za znakomitą, dobre wina — w Klemensowie i piwnica była „wedle stanu”, robiły swoje. W dodatku, co dla każdego Polaka jest drogie, można się było nagadać i wygadać. Szlagoni spod Kutna, Hrubieszowa, Końskiej Woli i Psiej Wólki ściągali więc jak węgørze na tarło, jedli, pili, a przede wszystkim — gadali. Gdyby jeszcze mogli zasiąść do kart byłoby to ideałem, ale niestety gospodarz te rzeczy zwalczał: a Zamoyskiemu oprzeć się nie śmiano. Natomiast rządcy Zamoyskiego pokazywali gościom a to nowe ogiery i kłaczce, a to nowe buhaje, nowe rasy krów, merynosów, nowe pługi, brony, zasiewy. Stajnia obchodziła szlagonów więcej, obora już znacznie mniej, zamiast zapoznać się z nowymi systemami uprawy zbóż chętniej zapewne zapoznaliby się z nowymi rodzajami chartów i wyżłów, — o, to by była pożyteczna innowacja! Ale, ostatecznie zapoznawali się z tym co było. Tak powstały „zjazdy klemensowskie”. Tak też urosła sława „pana Andrzeja”. Nie była mała. Wszak gdy umarł pełno ludzi było zdania że jego zwłoki trzeba ponieść na Wawel.

W nowszych nam czasach badania Władysława Grabskiego prześwieiliły nieco wartość gospodarczą owych gospodarskich zjazdów: okazuje się, że była ona znacznie mniej imponująca, niż to w swoim czasie myślano. Pewno że na zupełnym bezrybiu było to coś: ale było to bardzo, bardzo, mało. Niemniej polityczne znaczenie było bardzo znaczne. Zjazdy klemensowskie, a potem wyłonione z nich, po śmierci cara Mikołaja, Towarzystwo Rolnicze, stały się prawdziwą instytucją narodową, sejmem w braku sejmku. Tu opinia przodującej warstwy formułowała się, stąd rozprzestrzeniała się. Jakąż ona była? Domorośla. Warstwa ziemiańska, — podobnie jak i mieszczańska zresztą, lub, z innych racyj, chłopska, — nie chciała nowego powstania, pamiętna skutków poprzedniego. Ale pamiętna prześladowań rosyjskich nie chciała też zgody z Rosją. Trwała wtedy w stanie który moglibyśmy określić słowami „ni pokój, ni wojna”. Przy niezdolności do decyzji, znamiennej dla Polaków, był to oczywiście stan arcywygodny. Z jednej strony nie można było tym patriotom zarzucić, że zrzekają się czegokolwiek na rzecz kogokolwiek; z drugiej trudno było powiedzieć, że walczą. Był to stan rzeczy bardzo wygodny dla jednostek; bardzo niewygodny dla narodu. Olbrzymia warstwa, potężne liczebnie wpływywne stronnictwo, było bez zdefiniowanej koncepcji. Bez programu.

Miejsce programu, jak zwykle bywa w świecie, a już szczególnie w Polsce, zajęły z konieczności frazesy. Tak już jest zawsze. I właśnie „pan Andrzej”, ordynat na Zamościu Zamoyski, celował w nich jak nikt. Po kraju szły obiegami jego powiedzenia. Czasem były tajemniczo wieszczące: „Czuje Polskę w powietrzu” miał powiedzieć, nie bardzo wiedząc dlaczego, po jakimś zebraniu. Gdy pewien dygnitarz rosyjski powiedział mu pod adresem Polaków: „kochajmy się!”, pan Andrzej odpalił mu ponoć z miejsca: „...ale każdy u siebie, Panie Dyrektorze”. „Możesz mnie, książę rozstrzelać, ale nie masz do tego prawa” miał powiedzieć—co już pewno było legendą—samemu Paskiewiczowi-Erywańskiemu. Pełno było takich „złotych myśli” pana Andrzeja, podawano je sobie z ust do ust, od dworu do dworu, powtarzając: „a to im wygarnął! W pięty im poszło! Niech wiedzą!”. Tamtymi zjazdami i tymi powiedzeniami pan Andrzej urósł istotnie na wodza całej warstwy społecznej, na marszałka owego sejmu de facto. A także na wodza całego politycznego obozu. Był też taki jak ten jego obóz. Pełen frazesów, pozbawiony programu.

A tymczasem przyszły czasy kiedy niezbędny był program.

### III.

#### KU WŁADZY I U WŁADZY

Co się dzieje, jeśli do stawu, dotąd starannie odgradzonego od dopływów, poczną się naraz wlewać strumienie nowej wody, nie zastanej, rwącej? Stanie się wiele rzeczy. Najpierw popęka skorupa wodorostów jaka zieloną pleśnią pożerała coraz to większe płyty tafli wodnej; potem brzeg obeschły zacznie posuwać się wyżej i wyżej, a wody będą podmywać go coraz mocniej. Wreszcie staw przestanie się mieścić w łóżysku które jeszcze parę lat temu było całkiem wygodne. Zacznie je za to rozpiierać. Ciśnienie wody będzie wyszukiwać miejsca słabe, gdzieby się mogło przelać. Będzie przec na groble, ciężyc na słuzach. Im większy będzie dopływ, tym ciężyc będzie silniej. Jeśli zaś tym wodom nie damy ujścia, nastąpi katastrofa.

Okolo roku 1860 stało się tak właśnie z tym wielkim, zamarłym stawem polskim jakim było Królestwo Kongresowe. Dopływy jakie naruszały zatęchłość jego spokoju były różne i liczne. Potężną rolę grał czynnik biologiczny. Wyrosła cała młoda generacja która sama nie przeżyła klęski 1831 roku i patrzyła na nią tylko przez przytmat tak łatwo w Polsce wyrastającej legendy. Podobnie jak podchorążowie 1830 roku — właściwi sprawcy tamtego powstania — nie mogli znaleźć sobie miejsca w własnej armii W. Ks. Konstantego, tak samo ta nowa generacja nie znajdowała dla siebie miejsca w ówczesnej Polsce. Jakżeby je znalazła? Wieś, jako warsztat pracy, kurczyła się; dwór i chata były jednak napęczniałe młodym elementem, który dorastając tylko tu zawadzał. Miasto? Przemysł budził się powoli, bardzo powoli, był obcy, przede wszystkim niemiecki. Aby syn ziemiański wyrósł nie tylko na epuzera ale jeszcze na inżyniera potrzebna była wyższa szkoła; tej brakło. W tym samym czasie w Niemczech młode pokolenie szło do przemysłu, we Francji i Anglii szło poza

tym do handlu światowego, kolonii, marynarki, armii. Ale na horyzontach Kutnowskiego czy Płockiego, Hrubieszowszczyzny czy Zamoyszczyzny, nie było kominów fabrycznych i okrętowych masztów. Był za to las. I istotnie to młode pokolenie miało z czasem dosłownie pójść „do lasu”.

Dopływ biologiczny nie był jedynym który zmaçał zatechły spokój Królestwa. Sły jeszcze wiatry obce. Pokolenie które dorastało nie znało Zachodu, ale łowiło jego echa. Widziało jak powstawały lub krzepły państwa których dawniej w ogóle nie było. Powstało niepodległe Królestwo Włoskie ogarniając jedno za drugim prawie już wszystkie ziemie na których rozbrzmiewała mowa Petrarcki. Francja użyczyła mu pomocy; i jeszcze jakiej! Och, to już nie jest Francja spasioego egoisty Ludwika Filipa, mówili sobie Polacy; to Francja napoleońskiego dziedzica, Napoleona III. Pomógł Włochom, pomoże i nam. (Jego ministrem spraw zagranicznych — szeptały ciotce — jest przecież Oleś Walewski, syn polskiej kochanki Boga Wojny; młody Koźmian ma do niego dostęp w każdej chwili; czyż nie są to dowody przekonujące?) W północnych Włoszech, w Cuneo, jest polska szkoła wojenna; prowadzi ją Mierosławski (ten sam, z 1848 r). Oto co sobie mówili nasi przodkowie temu lat osiemdziesiąt parę. Czy bardzo możemy ich potępiać za wishful thinking? Nie. Oni przynajmniej mieli doń pewne podstawy. Wszak Napoleon III istotnie kokietował Polaków, Włochy istotnie powstały, na Bałkanach rosła młoda niepodległość serbska, a pułkownik Czuza na czele paru kompanii wojska stworzył to co niebawem miało być Rumunią. Ba, pod bokiem Konstantynopola wykuwała się już zwolna Bułgaria, a niepodległość grecka o którą walczył Lord Byron liczyła sobie blisko trzydzieści lat dość burzliwego życia. Ludzie co patrzyli na to wszystko kierowali potem wzrok na Polskę. Czyż było możliwym by tylko tu nic się nie zmieniło, kiedy wszędzie zmienia się wszystko? Polska wzbierała oporem. Wody w stawie poczęły się podnosić.

Gdzie indziej, zwiastunami zmian politycznych są ulice pełne ludzi; w Polsce z dawna zaczynały się od kościołów, pogrzebów i obchodów. Czasem i na tym się kończy, ale tym razem nie. Pierwszym z nich był bodaj pogrzeb sędziwego generała Krasieńskiego, któremu po zgonie naród polski z tą polską lekkomyślnością jaką ten naród miał zawsze w stosunku do swoich generałów wybaczył naraz czterdzieści lat gorliwego służalstwa. Ale potem zmarła wdowa po generale Sowińskim, inwalidzie o drewnianej nodze, co we wrześniu 1831 roku padł na szańcach Woli. A jeszcze — prawda! — obchód Trzech Wieszców. Potem przyszedł obchód trzydziestej rocznicy Nocy Listopadowej; znowu pochód, policja, tłumy. W Warszawie stawało się goręcej. Towarzystwo Rolnicze Zamoyskiego, które rozbudowało się okazale miało swe obrady; z jednej strony władze rosyjskie chciały je skrępować w jego rozwoju, z drugiej żywiły konspiracyjne które już się odzywały chciały je skłonić do wystąpienia przeciw Rosji. „Adres do tronu” z wyluszczeniem, w oględnej formie, żalów, rozszczeń i nadziei — oto były środki jakimi w owych czasach, w państwach bez parlamentu, ale przecież z opinią publiczną, poddani powiadamiali władzę o swej woli. Przez luty ciągnęły się w Warszawie, w gmachu Resursy Kupieckiej, obrady Towarzystwa. Śledziła je Polska i pisał o nich „Times”. W ostatnim dniu napięcie wzrosło. Z Miodowej, Franciszkańskiej, Nowego Świata podeszły tłumy które miały swymi okrzykami podniecić nastroje owego polskiego „sejmu de facto”. Marszałek owego sejmku, to jest Pan Andrzej, zaniepokoił się. Ten napór ulicy wcale nie przypadał mu do smaku. Co zrobić? Porozumiał się ni mniej ni więcej tylko z Zamkiem. Książę Gorczakow, carski namiestnik nie kazał się prosić dwa razy, i oto na ulicach Warszawy pojawiły

się naraz sotnie kozaków, zaczęli od mundurów czerkieskich, zატęchło potem, szuwaksem i mahorką soldacką. Rzecz jasna, ulica warszawska patrząc na to wszystko ani się nie domyślała czyja inicjatywa sprowadziła z koszar tych nieproszonych gości. Pod ich osłoną ziemiański sejm Pana Andrzeja mógł obradować spokojnie i ściana pięknego pałacu broniły go i od polskiego tłumu, i od obcych bagnatów. Tymczasem za to skonfrontowały się tamte dwie siły; warszawska ulica i rosyjski żołnierz.

Żołnierz ten był, jakby umyślnie, szczególnie obcy. Ci Czerkiesi, Kałmucy i Dońcy byli obcy każdemu w ogóle miastu. Zwłaszcza zaś temu miastu. Step, ałus i Kaukaz były ich światem. Tu czuli się nieswojo a więc niepewnie. Stanie z bronią u nogi, w środku wrogiej ulicy, pod oknami milczących domów i spojrzzeniami nienawiści, wzmagało napięcie. Naraz, od Bernardynów, wysunął się jakiś pochód. Książ, krzyż, ludzie. Sotnia runęła z miejsca, jakby chcąc zdeptać zarodek buntu. Właśnie go roznieciła. To na co napadła był zwykły, nikomu nie znany, pogrzeb. Ale w międzyczasie książ, trumna, katafalk, wszystko to leżało już na bruku stratowane przez konie kozackie. W chwilę później padły strzały innego rosyjskiego oddziału który także nie wytrzymał napięcia. Pięć niewinnych ofiar poległo od tych strzałów.

Znowu w naszych czasach nie możemy pojąć by pięć ofiar ulicznego zajścia mogło uczynić takie wrażenie jak owego 27 lutego 1861 roku. Ale był to — znowuż — dobry wiek XIX, kiedy o mniejszą ilość poległych padały trony, kiedy królowa Wiktorja o jednego polskiego powstańca — (co prawda był to hrabia Plater) — pisała listy odręczne do cara, — i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Car był właśnie uwikłany po uszy w podwójny konflikt: wewnętrzny i zagraniczny. Właśnie przeprowadzał u siebie w Rosji uwłaszczenie chłopów, lawirując pomiędzy oporem konserwatywnych ziemian a buntami anarchicznych muzyków. Właśnie prowadził swoją misterną dyplomatyczną grę z Napoleonem III, starając się o to aby cesarz Francuzów przestał być Kominternem wszystkich uściskanych narodowości w Europie. Wreszcie był to wciąż jeszcze okres w którym Aleksander II szedł na kompromisy. Zaraz po krwawym starciu Rosja się cofnęła. Namiestnik Gorczakow oświadczył, że winni oficerowie będą ukarani, przyjął delegacje obywatelstwa, zdał rządu miasta w ręce komitetu obywatelskiego i jego straży ochotniczej. Naraz zniknęli z ulic Kozacy i Czerkiesi. Jakaś niemal ludowa milicja, swojska, amatorska i polska, zajęła ich miejsce. Pogrzeb Pięciu Poległych miał być monstre obchodem. Cała Polska nim żyła, cały świat o nim pisał. Obchód robiono potem długo, pełne tygodnie, drukowano obrazki, poświęcano medaliki, pisano wiersze; zaczęto wdzwiewać żalobę narodową. Wszystko to było bardzo piękne, rzecz jasna, a przede wszystkim ogromnie polskie. Tak, ale — co dalej?

Towarzystwo Rolnicze, ów krajowy „sejm de facto”, zebrał się niezwłocznie i ponownie nie po to, rzecz jasna, aby radzić nad sadzeniem grochu czy importem peruwiańskiego guana, ale właśnie tym co dalej? Dalej „adres do tronu” narzucał się zebrany. Chciała go i Rosja. Czegoż Polacy chcą? Czy istnieją takie warunki, za cenę których Rosji na Zachodzie przestałaby wciąż wadzić sprawa polska, osiągnięty byłby spokój wewnętrzny, umożliwione dalsze słowiańskie plany? Czego Polacy chcą? Petersburg dawno naglił Gorczakowa aby to wysondował, a Gorczakow przez różnych ludzi przypierał do muru Zamoyskiego. Ale Pan Andrzej rozkładał ręce. Był to jego ulubiony gest. Cóż on, jednostka, może powiedzieć? Ale jest Towarzystwo Rolnicze. Ono powie za kraj. I nocą z 27 na 28 luty Towarzystwo Rolnicze zeszło się na najważniejsze obrady w czasie całego swego istnienia. Tu nie chodziło już o typ pługa czy trójpółówkę, o orkę głęboką, czy płytka. Najpoważniejsza i jedyna

organizacja społeczna kraju miała powiedzieć władzy czy i na jakich warunkach możliwe jest pojednanie pomiędzy Polską a Rosją.

Ludzie z innego pokolenia marzyliby o takiej chwili. Kołłątaj który przystąpił do Targowicy, Czartoryski który był ministrem spraw zagranicznych Aleksandra, Staszyc który był radykałem, ludzie takiego pokroju marzyliby kiedyś o takiej chwili. Ale tłum notablów Towarzystwa Ludowego nie składał się z Kołłątajów, Czartoryskich i Staszyców, ale z Hreczko-siejskich, Pocziwińskich i Mociumpańskich. Aby dorość do swej roli „sejm de facto” musiałby być senatem mędrców. Tymczasem nie był nie tylko senatem, nie był nie tylko sejmem, ale nie był nawet sejmikiem. Był po prostu odpustem. Gdyby na tym zebraniu przeważali ludzie konspiracji, to zamiast adresu do cara uchwaliliby manifest niepodległościowy. Car, świat i naród wiedzieliby, że innej formuły jak niepodległość w granicach z 1772 roku nie ma. Oczywiście, w niczym by to Polsce nie pomogło, ale byłoby choć to. Świat wiedziałby że cała Polska stoi za rewolucją. Gdyby owej nocy na sali Resursy Kupieckiej obradowali realisci polityczni to za cenę uznania Rosji zażądałiby takich, innych, jeszcze innych, ustępstw. Tak z Habsburgami postąpili w innym czasie Węgrzy; tak z tym samym carem postąpiła w tym samym prawie czasie roztropna Finlandia. Ale w tym sęk, że ów sejm de facto nie składał się ani z „czerwonych” ani z naprawdę „białych”. Bał się panicznie okrzyku „zdrada” jeśli pójdzie na ustępstwa nawet w sprawach tak oczywiście przegranych jak granice sprzed lat dziewięćdziesięciu. Na okrzyk „do broni” brakło zaś szaleństwa. Noc zbiegała, mowy się wlokły, odpowiedzi nie miano. A odpowiedź trzeba było dać.

Ku największej wściekłości już i tak zakłopotanego Towarzystwa wypłynął projekt konkretny. Przyszedł on od Margrabiego. Wielopolski, rzecz znamienna, nie przyniósł go sam. Czy samo zjawienie się niepopularnej postaci już położyłoby projekt? Czy Margrabia miał dla tego odpustu za wiele pogardy? Mniejsza o to. Dość że jego projekt przyniósł, zgłosił i bronił, Tomasz Potocki. Był to — zdawało się — dobry poseł. Szwagier Wielopolskiego, potomek wielkiego rodu, był inwalidą z powstania listopadowego. Pod Długosiodłem, w jednej z tych arcy polskich szarż ułańskich, stracił obie nogi. Jeśli człowiek co lał krew w walce z Rosją przemawia za porozumieniem z Rosją mogłoby to, zapewne, tylko przemawiać za nim. Niestety, szlachta wolała znacznie bardziej tych co ani krwi dotąd nie leli, ani jej leć nie mieli, a tylko darli się że ani pędzi. Potockiemu zarzucano zresztą że jest „chłopomanem i słowianofilem”. Był on z dawna zwolennikiem zniesienia pańszczyzny, uważał że Polacy zbyt wiele mówią o polskości Witebska a zbyt mało o polskości Poznania. Toteż uważano go, oczywiście, za szkodliwego marzyciela. Ci co milczeli o Poznaniu i stawili dobrodziejstwa pańszczyzny, uchodzili, rzecz jasna, za tęgie umysły.

Ale nawet wtedy gdyby poseł Wielopolskiego był typowy płytkiewicz, z gatunku tak pasującego do popularności polskiej, nie wiele by wskórał. Projekt jaki przynosił był bowiem projektem konkretnym. Stwierdzał on wyraźnie, brutalnie nawet, uznanie władzy cesarskiej z uznaniem praw narodu. Prawa narodu to były polska administracja, polskie szkolnictwo średnie i wyższe, polska odrębność Królestwa. Właśnie Królestwa. Wielopolski wyraźnie stawał na linii Bugu. Poza tą linią cesarz rosyjski był dla niego cesarzem rosyjskim. Ale w ziemiach po Bug był tylko królem polskim. Absolutnym wprawdzie, to jasne. Wielopolski nie żądał przywrócenia tej konstytucji z wyborami, z sejmem, jaka wyrosła z Traktatem Wiedeńskim, a przepadła z Powstaniem Listopadowym. Wielopolski nie wysuwał żądania wskrzeszenia polskiej armii. Wielopolski



wiedział że tych trzech rzeczy: konstytucji, armii polskiej i Kresów, Petersburg nie odda. Ale to co wysuwał było do przyjęcia.

Owej nocy Towarzystwo Rolnicze stało na rozdrożu. Zza okna z lutowym mrozem dolatywały pomruki ludowej burzy. Krakowskim Przedmieściem przecwałowały niepewnie i nerwowo patrole kozackich rozwiędek. A oni mieli do świtu udzielić swej odpowiedzi. Czy idą na ustępstwa wobec Rosji byle ona na ustępstwa poszła? 1772, 1815, 1831, Rejtan, sejmy rozbiorowe, przeszłość, teraźniejszość. Ale był nie tylko projekt Wielopolskiego. Był jeszcze projekt Stawiskiego.

Dziś my nie wiemy kto był ów pan Edmund Stawiski. Ale pocieszmy się: historycy wiedzą o nim nie wiele więcej. Był to, w bliżej nieokreślony sposób, zasłużony znawca sprawy włościańskiej. (W owych czasach pełno było takich znawców i wszyscy zawsze byli zasłużeni.) Poza tym był to gładki, kochany, serdeczny człowiek, taki jak oni wszyscy w tym Towarzystwie Rolniczym, — a także w całej tej Polsce. Taki pan Andrzej Zamoyski — w jeszcze mniejszym formacie. Otóż pan Edmund pisał mowy i wygłaszał toasty, a wszyscy podziwiali ich gładkość, takt, układ, godność i czczość. Toteż owej nocy wpłynął i projekt zacnego pana Edmunda. Poparła go gorąco sama wyrocznia opinii polskiej — pan Andrzej Zamoyski. Warto posłuchać co pan Andrzej widział tak przekonującego w elokubracie pana Edmunda? To właśnie że „nic nie żądając, żąda jednak wszystkiego.” Albowiem „prosić o nic nie możemy, a żądać nie mamy prawa”.

I istotnie projekt adresu do cara opracowany przez pana Edmunda był pod tym względem niedoścignionym ideałem. Można by było go wydać i dzisiaj w wypisach ad usum polskich premierów, wodzów naczelnych, ambasadorów i pomniejszych mężów stanu, aby nareszcie wiedzieli jak kazać swym sekretarzom układać przemówienia w których długo mówiąc nie powiedzieliby nic. Przynajmniej Pan Edmund czynił to we wzorowej polszczyźnie i kulturalnej formie. Była tam więc mowa o opatrności, o warunkach bytu, o kościele, o społeczności, o poznaniu celów, o zasadach płynących z ducha narodu, i o bardzo wielu innych niemniej pięknych rzeczach. Nad ranem Tomasz Potocki odwiózł Wielopolskiemu jego projekt odrzucony jednomyślnie, a około południa kancelaria namiestnika Gorczakowa miała już i projekt Stawiskiego, — jednomyślnie przyjęty.

Na Zamku stary książę Gorczakow czytał go raz i drugi. Potem wziął do pomocy biurokratów rosyjskich i polskich. Czytali razem. Oglądali tekst polski i francuski, znowu polski i znowu francuski. Ale nie mogli zeń zrozumieć niczego. Polska, jak dziewczyna z piosenki, nie mówiła „tak” i nie mówiła „nie”. Ale takie dziewczyny są miłe tylko w piosence, w życiu zrazu nas podniecają, potem szybko nam brzydą. A w polityce? Trudno! W okresie w którym Polska utraciła doświadczenie polityczne, Rosja je nabyła, w okresie gdy Polacy wydawali ulotki Rosjanie wygrywali układy. Brak własnego państwa już wywarł swój wpływ. Kraj, nachylony nad adresem pana Edmunda mówił: „jakie to piękne”. Świat czytając ten sam adres w „Times’ie” i w „Le Temps” mówił: ci Polacy są naprawdę nierealni. I właściwie wszyscy, i Kraj i Świat, mieli trochę racji.

Z kolei namiestnik przeszedł do lektury odrzuconego jednomyślnie projektu Wielopolskiego. Po swej klęsce u rodaków Margrabia usunął się był do Chrobrza. Nawet nie doczekał jeszcze jednego narodowego obchodu: pogrzebu pięciu poległych. Było to zupełnie nie po polsku — i zupełnie w jego stylu. „Przekreśliliśmy go na zawsze” — mówiła Warszawa. W istocie rzeczy było wręcz przeciwnie. Najbardziej znienawidzony, pogardzany, ośmieszony nawet, a przede wszystkim najbardziej samotny człowiek w Polsce, teraz właśnie zaczynał swój start

do historii. Po tygodniu wzywa go Gorczakow telegraficznie; w Warszawie zaczynają się rozmowy. Trwają one przez cały prawie marzec. Ich wyniki powędrowały do Petersburga, gdzie poddano je pośpiesznie Radzie Ministrów. 26 marca Aleksander II podpisywał w Pałacu Zimowym ukaz o reformach w „swym Królestwie Polskim“, oraz nominację mocą której Aleksander hrabia Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski obejmował stanowisko dyrektora wyznań religijnych i oświecenia publicznego w Królestwie. Tytuł był skromny. Rola była olbrzymia. Zdumienie narodu największe.

\*

\*

\*

Dzięki czemu ludzie dochodzą do władzy będąc samotni, niepopularni, zniechęceni? Dzięki samym sobie. Wielopolski docenił i wyzyskał trafnie spłot sytuacji; wewnętrzne kłopoty Rosji i jej pragnienie spokoju w sprawie polskiej; zagraniczną politykę Rosji — jej flirt (i dąsy na przemian) z Francją, gdzie znowu spokój w sprawie polskiej był potrzebny dyplomacji rosyjskiej. Reformistyczne tendencje samego cara, a wreszcie jeszcze jedną okoliczność maluczką a ważką. Tak maluczką że jej później niemal nie dostrzegli nasi wielcy historycy, choć ją dobrze docenili już wówczas bardziej życiowi od wielkich historyków współcześni. Oto w samej twierdzy wroga, na Zamku, w otoczeniu namiestnika, miał margrabia naturalnych sprzymierzeńców. Byli nimi polscy biurokraci w rosyjskiej służbie.

Ze szkół wynosimy mylne wrażenie jakoby z upadkiem Powstania Listopadowego młoda państwowość Królestwa Polskiego runęła w całości, a z chwilą kiedy wojska polskie poszły z sejmem i rządem na emigrację, w Warszawie wszystko od razu przestało istnieć i stało się natychmiast Rosją. Tak nie było. Prawda, znikł sejm, senat, konstytucja, odrębna od Rosji armia, ale pozostały pewne zręby administracyjne Królestwa, takie jak Rada Stanu, Rada Administracyjna, Bank Polski, granica celna. Jedne z nich polikwidowano w następnych latach, inne ograniczono, ale część tych urzędów polskich oparła się burzy mikołajewskiej. Było to tak jakby po pożarze domu pozostały części fundamentów, a nawet ściany, choć runął dach i inne ściany. Otóż Wielopolski chciał się dogrzebać do tego wszystkiego co pozostało *po pożarze*, — i od tego rozpocząć stopniowe odbudowywanie domu.

Ocalały zaś nie tylko pewne instytucje. Zachowali się i ludzie żywi: urzędnicy polscy. Zapewne, byli to ludzie o zgoła podejrzanym patriotyzmie, wątpliwych charakterach, lecz o niewątpliwiej wiedzy i doświadczeniu państwowym. Jakby o tym powiedziano z zachwytem we Francji ils savaient gerer les affaires. Byli wśród nich dawniej pisarze, jak Szaniawski, byli jeszcze i teraz świetni prawnicy jak Hube, zręczni intryganci jak Karnicki no i wreszcie ludzie mierzący wysoko i mogący wiele, jak zniechęcony w kraju przechrztła a „protektor” margrabiego na Zamku, prokurator Enoch. Jedno jest pewne. Rzadko kiedy w swej historii (a już na pewno nie za naszego życia) miała Polska równie wytrawną administrację. Pomimo rządów Paskiewiczza, pomimo panowania Mikołaja, dokonali oni tego co zawsze zalecają ludzie bez charakteru, a umieją dokonać ludzie zręczni; przetrwali. Potrafili przetrwać. Wprawdzie Królestwo Polskie nasiąkało coraz bardziej urzędnikami Rosjanami, i to nie tylko na wyższych szczeblach; wprawdzie faktycznym rządcą Królestwa był ostatnio przewrotny i złośliwy Muchanow; zajmował on właśnie to stanowisko na które teraz przechodził Polak — Wielopolski. Ale Polacy w administracji Królestwa bronili się milczkiem, uparcie, wytrwale. Dorównywali Moskałom w wiernopoddaniu, przewyższali ich w wiedzy, rutynie,

znawstwie terenu. Toteż każdorazowy namiestnik słuchał ich nawet wtedy jeśli nie byli na naczelnych stanowiskach. Zawsze stanowili kamarylę ukrytą, sieć szarych eminencji, która, jak wiemy, potrafi być pożądana. Otóż ta wpływowa klika czcząc cesarza-Rosjanina, czcując się przed namiestnikiem-Rosjaninem, nienawidziła Rosjanina-kolegę-urzędnika. W stosunku do tej czeredy rosyjskich urzędników jacy, mimo heroicznego oporu Polaków, wlewali się coraz liczniej w kadry administracji Królestwa, panowała święta nienawiść ich polskich kolegów. Może dla nich, w stosunku do zaborcy, twierdzą nie był każdy próg, ale na pewno była im twierdzą każda posiadłość.

Otóż wszystkie projekty reform, jakie w toku marcowych rozmów z Górczakowym przedłożył był Margrabia, musiały zachwycić ową polską biurokrację wokół Zamku. Przede wszystkim oznaczały one odsunięcie rosyjskiego czynnika wojskowego od steru, sprowadzenie go do roli załóg wojskowych; a żadna poważna biurokracja na świecie nie może znieść szarogęsowania się armii w dziedzinach jakie do armii nie należą. Tym bardziej obcej armii. Po drugie konkretne plany reform, — szkolnej, żydowskiej, chłopskiej, urzędniczej, miejskiej, musiały pociągać wszystkie ambitne żywioły biurokratyczne. Tak było zawsze. Urzędnik, jeśli jest kimś, marzy nie tylko o podwyżce, o awansie, zabiega nie tylko o spotkanie swego ministra w windzie, a dyrektora na korytarzu. Marzy jeszcze i o tym aby zamiast odwalać głupie papierki inicjował duże rzeczy, by działał, wywierał wpływ, organizował, stanowił. Tak samo ambitny wojskowy cieszy się z wojny, garnie się do udziału w kampanii zamiast siedzieć w hotelowym biurze. Czytając plany reform jakie zalecał Wielopolski, biurokraci warszawscy musieli zapalać się do myśli że oni, właśnie oni, będą te rzeczy przemysłane głęboko, opracowane szczegółowo, logiczne w koncepcji, wprowadzać w życie. Ich rola nimi rosła. A wreszcie działała jeszcze jedna, nader życiowa okoliczność. Oto projekty margrabiego przewidywały przede wszystkim wymiecenie z Królestwa tej czeredy rosyjskich urzędów, która zlatywała się tu z głębokiej Rosji, ciemna, chciwa, złodziejska, wyniosła, obca. Panowie szlachta z Towarzystwa Rolniczego pomijali tę czeredę wzdargliwym milczeniem. Dla nich przeciwnikiem był car, Petersburg, orzeł dwugłowy: owe „ruskie robactwo” wydawało się już pomniejszym złem, następstwem tamtego, wielkiego. Jeśli już cierpi się tamto, można cierpieć i to. Ale biurokraci polscy myśleli inaczej niż ziemianie. I oto naraz w tym społeczeństwie polskim z którego oni byli wyobcowani, traktowani nieco jak zdraycy, nieco jak lokaje obcy, nieco jak owi biblijni celnicy w Ewangelii, pojawiał się człowiek wielki nazwiskiem, umysłem, wykształceniem, a wreszcie odwagą cywilną, i on podejmował, od strony społeczeństwa, ich ciche troski. Jego program w stosunku do Rosji nie rozpoczynał się od Witebska i roku 1772, ale od chwili obecnej i od tych drobnych pasożytów rosyjskich. Nareszcie ktoś! — powiedzieli sobie polscy urzędnicy wokół namiestnika.

Gdyby sprawa polska była w tej chwili załatwiana na niskim szczeblu, Wielopolski nie miałby szans. Tak samo jak przychylnie mu były — z racji własnego interesu — polskie elementy biurokracji Królestwa, tak samo wrogiem mu były — (to się jeszcze pokaże) — rosyjskie elementy w tejże biurokracji. Ale na ten raz, sprawa polska nie leżała w ich ręku. Leżała wyżej. Załatwiał ją sam namiestnik, książę Górczakow a więc arystokrata, ziemianin, który sam czuł się klasowo bliższym tym polskim, imponującym mu, panom z Chrobry i Klemensowa niż podległym mu służbowo, prawosławnym i ruskim jak on Popowym i Smierdiukowym, czynowniczym podporom caratu. Załatwiał ją sam car. Dla nich kwestia czy w Sandomierskim lub Płockim urzędować będą Iwanowy, Popowy i Smierdiukowy, czy też Wolscy, Jankowscy i Koziczcy, była

zupelnie drugorzędna. Ważne było tylko pod którą z tych obsad ziemie nad Wisłą będą przynosić mniej kłopotów. Właśnie okazało się, że pomimo Kozaków na ulicach Warszawy i Muchanowych na warszawskich urzędach Polska przyczyniła same kłopoty najjaśniejszemu panu. Może bez Kozaków i Muchanowych będzie przyczyniła mniej kłopotów, lub nie przyczyniła ich wcale? Wszak to właśnie dowodził, argumentując dobitnie, rzeczowo, ze swą niemiecką logiką, margrabia Wielopolski.

\* \* \*

Nie trzeba sądzić by te szczupłe zmiany z jakimi Wielopolski zaczął były jego ideałem. Wręcz przeciwnie. W rozmowach marcowych z Gorczakowym Wielopolski przedstawił program bardzo obszerny. Obejmował on nie tylko stworzenie urzędniczej, opracowującej ustawy, Rady Stanu, przywrócenie uniwersytetu, województw, dawnego (sprzed 1830) herbu i mundurów urzędniczych, nie tylko stworzenie samorządu miejskiego i wiejskiego, ale nawet „Rady Senatorskiej“ zwoływanej corocznie, i „Rady Wolnej“ co dwa lata. Miał to być, co prawda z cesarskiej nominacji, ale jednak jakby parlament. Gorczakow obciął z tego przede wszystkim to co zbyt pachniało parlamentem, zachowując Radę Stanu, w miejsce uniwersytetu wstawił nową nazwę „Szkoła Główna“. Samo słowo „uniwersytet“ było u władców ówczesnej Rosji przeraźliwym pojęciem.

W Petersburgu cesarz obciął jeszcze wiele z tego czego nie skreślił Gorczakow. Pozostała zatem autonomia administracyjna, reformy szkolne, włościańskie, prawne, wyodrębnienie Warszawy od Petersburga, Królestwa od Rosji, stworzenie nad Wisłą ośrodka rządzenia tym krajem. Było to niewątpliwie mało. Ale znowu pamiętajmy, że za Wielopolskim w tej chwili nie stał naprawdę nikt. To nie jego projekt przeszedł był w Towarzystwie Rolniczym, to nie on, a jego przeciwnik sprawował w Polsce rząd dusz, to nie za nim, a za jego przeciwnikiem szło społeczeństwo z karnością właściwą wprawdzie nie Anglikom czy Francuzom, ale niewątpliwie baranom. Gdyby Wielopolski mógł powiedzieć na Zamku: „Mam za sobą kraj. Przemawiam w imieniu paru milionów moich oświeconych rodaków. Opinię Polski wyrażam ja“ — to zapewne mógłby być w tej chwili wytargować więcej. Ale właśnie z woli społeczeństwa polskiego, z woli pana Andrzeja, pana Edmunda i innych narodowych wyroczni, był on samotny. Do porozumienia z Rosją mógł włożyć tylko kapitał swego rozumu. Innego kapitału nie miał. Kapitał ten — kapitał zaufania, tak cenny w polityce — miał za to Zamoyski. Ale sam go nie używając, nie dawał go użyć i innym.

W kilkanaście dni po objęciu przez Polaka wysokiego stanowiska w administracji Królestwa społeczeństwo postanowiło pokazać jeszcze dobitniej, wobec świata, Rosji i Polski, jak bardzo ów Polak — Wielopolski — nie reprezentuje Polaków. W tych czasach kiedy pięć ofiar w starciu ulicznym było już wydarzeniem europejskim, wielkanocne święcone wystarczało dla demonstracji. Właśnie — co za szczęście! — przypadła Wielkanoc. Wszystko co żyło w Warszawie, co liczyło się i znaczyło, pośpieszyło hurmem na kiełbasy, szynki, baby i jajka do Pana Andrzeja. Owego roku wielkanocne swe obżarstwo spełniali jeszcze jako akt narodowy. Dziś wydaje się to nam tak dalekim i naiwnym jak owe czasy frejlin, politycznych hrabin i adresów do tronu. Ale jeszcze w dziesięciolecie całe potem rozprowadano o owym święconym jako o politycznej demonstracji. I była to demonstracja. W Rosji przeciwnicy porozumienia z Polską mieli dzięki polskim gorliwcom jeszcze jeden argument: „widzicie, Wielopolski nie reprezentuje nikogo. Nie poparty przed dojściem do władzy, nie uzyskał poparcia po dojściu do niej“. Ale Wielopolski i tu się nie cofnął. Począł za to łamać.

Kiedy społeczeństwo, dojrzałe do niepodległego bytu, nie posiada własnego państwowego życia, wtedy tworzy sobie formy poboczne takiego życia. Żyje poza państwem. Za naszych czasów mleczarskie kooperatywy ukraińskie w Małopolsce Wschodniej były dla Ukraińców czymś znacznie więcej niżby nimi były dla narodu we własnym niepodległym państwie. Kiedyś, dla Irlandii, kościół katolicki był jeszcze i przystanią życia narodowego. Otóż takimi formami życia narodowego było w Królestwie Polskim owych lat znane nam już Towarzystwo Rolnicze — i Kościół. Na gruzach własnej państwowości Kościół wyrósł na jakąś ersatz-państwowość: wobec braku reprezentacji społecznej Towarzystwo wyrosło na ersatz-parlament. Ale obecnie, zdaniem Margrabiego, tamte czasy się kończyły, a zaczynała nowa era: stopniowej odbudowy własnego państwa. Nie na skutek cudu, łaski nieba, kataklizmu, pomocy obcej, ale kolejnej ewolucji. Owe namiastki poczynaly wadzić. Toteż w powitalnej mowie imanej niebawem do przedstawicieli duchowieństwa ultrakatolicki Margrabia powiedział wyraźnie, że nie ścierpi mieszania się kościoła do polityki, nie będzie tolerował „państwa w państwie”. W stosunku do Towarzystwa Rolniczego postąpił jeszcze ostrzej, bo je rozwiązał.

Bardzo mało obrońców Margrabiego zdobyło się dotąd na obronę obu tych kroków. Natomiast prasa zagraniczna w tych czasów, na ogół przychylna Polakom a nie Margrabiemu, rozumiała je lepiej. Isto nie postępowanie Wielopolskiego nie mogło być inne, jeśli miało być konsekwentne. Ta rola polityczna jaką odgrywał kościół była tylko wynikiem niezdrowych stosunków zaborczych, braku własnego państwa. Nie wychodził na niej dobrze ani naród, wtlaczany do kruchty, ani kościół, wplątany w walki polityczne. Z Towarzystwem Rolniczym było to jeszcze bardziej oczywiste. Znaczenie fachowe tej instytucji było — jak słusznie ocenił tak znakomity badacz jak Władysław Grabski — arcymierne, za to rozpolitykowanie olbrzymie, ale niestety, jak się to objawiło owej nocy obrad w Resursie, pozbawione wszelkiej zdolności do pobrania za naród jakichkolwiek decyzji. Wielopolski mógł się spodziewać, że w swej trudnej grze z rosyjskim partnerem będzie stale narażony na jakieś wycieczki kościoła czy Towarzystwa w dziedzinę polityczną. Chciał to uprzędzić. Z kościołem, jak zobaczymy, był poza tym w najlepszych stosunkach. Niebawem postarał mu się o znakomitego kierownika w Polsce, dbał o podniesienie poziomu nauk w seminariach, ułatwiał kontakt z Rzymem. Ale z polityki go sobie wyprosił. Pełno ludzi z Towarzystwa Rolniczego zawezwał niebawem do współpracy w reformie agrarnej. Ale z polityki ich wyobcował. Był to właściwie jedyny polityk polski który poszedł na pewien „rozdział kościoła od państwa”, w skromnych, rzecz jasna, zarysach, przeprowadzony bez złości do Kościoła, a przeciwnie, z poszanowaniem jego roli duchowej, jeśli nie świeckiej. Tak pojmowali zresztą stanowisko Wielopolskiego współcześni. Tak je też rozumieć badacze tej epoki.

Tymczasem nadszedł nowy krwawy wypadek. Oto na skutek rozwiązania Towarzystwa Rolniczego doszło do nowych zaburzeń. 8 Kwietnia tłum demonstrujący przed Zamkiem dostał się pod ogień Rosjan. Było to zgodnie z świeżo opracowaną ustawą o zbiegowiskach, jaką właśnie wydał Wielopolski. Wzorowana na podobnych ustawach angielskich posiadała ona cały ceremoniał przestróg jakie wojsko miało zastawać przed oddaniem ognia. Bicie w bębny, potrójne wezwanie, i t.p. Ale tłum nie znał jej jeszcze i słysząc bicie bębnow tylko się zbiegł. Paręset ofiar w zabitych i rannych było na placu. Tym razem nie było to pięciu poległych. Była to rzeź.

Na wiadomość o niej, Wielopolski przerywa urzędowanie i śpieszy w karecie na Zamek. Tłum poznaje Wielopolskiego. Kareta zostaje

obrzucana kamieniami, zdemolowana, zatrzymana. 59-letni starszy pan, o tuszy Churchilla, wysiada z niej piechotą, z synem i doktorem Chałubińskim, przeciska się na Zamek wśród wyzwisk i kamieni tłumu, a strażów Rosjan. Chodzi przecież o to aby wstrzymać, jaknajprędzej wstrzymać, ową rozpętującą się rzecz. Któż to robi, jeśli nie on? Istotnie. W pięć minut po dostaniu się Wielopolskiego na Zamek, wybiega goniec od Gorczakowa; wstrzymać ogień! Na Zamku tymczasem rosyjski generał Chrulew klóci się z roztrzęsionym polskim dyrektorem wydziału sprawiedliwości, Wołowskim. Chrulew twierdzi że on tylko wykonał ustawę której akt podpisał Wołowski; Wołowski lka, że tamten wprowadził ją w życie za wcześniej. Na to Wielopolski zwalnia obu od odpowiedzialności. Wszak to on uplanował ustawę; on pokrył jej wykonanie. W kilka godzin później odezwą rozplakatowaną na ulicach czyni to istotnie.

W Polsce, gdzie krew zawsze przeraża, gdzie rządzący niczego tak się nie boją jak brania odpowiedzialności na siebie, gdzie zwyczajem każdego szefa jest zwać winę na podwładnych, krok ten robi wrażenie. Po dymisji rozhisteryzowanego Wołowskiego, Wielopolski obejmuje i tę tekę. Sprawuje odład nie tylko sprawy wyznaniowe i oświaty, ale sprawiedliwości. Faktycznie zaś, prawie całość cywilnych rządów w Królestwie. Jego śmiałość, zimna krew i decyzja, pochopność w braniu odpowiedzialności za rzeczy którym winien nie był, zaimponowały wszystkim. Petersburgowi, namiestnikowi, biurokracji, Rosjanom. A nawet zaimponowały i rodakom. Prestige rósł. Opornie, ale rósł.

W tym cośmy napisali na tych kilku ostatnich stronach nakreśliśmy tylko etapy którymi Wielopolski umacniał się we władzy. Mowa o duchowieństwie; rozwiązanie Towarzystwa; zachowanie się w zaburzeniach oto te etapy. Ale w tym samym czasie od pierwszego dnia swego urzędowania, w jakimś gorączkowym pośpiechu, Wielopolski wprowadzał jedną za drugą reformy. Historia miała je związać na zawsze z jego nazwiskiem. My z dalekiej perspektywy możemy powiedzieć jedno: rzadko kiedy w historii polskiej tyle, tak ważnych i tak celowych reform przeprowadzono w tak niezmiernie krótkim czasie. Rzadko kiedy mieliśmy do czynienia z reformami tak postępowymi i tak przemyślanymi. Ten człowiek doszedłszy do władzy wiedział przynajmniej co z władzą tą robić. A każdy z nas wie, że nie o wielu włodarzach Rzeczypospolitej można powiedzieć to samo.

Już sam zakres owych reform jest imponujący. Obejmują one bowiem oświatę, administrację, sprawy agrarne, sprawę żydowską. Zaczynają od spolszczenia administracji. W parę tygodni po dojściu Wielopolskiego do władzy „Gazeta Rządowa” poczyną drukować codzienne olbrzymie listy urzędników „uwolnionych” — tak to wtedy łagodnie nazywano — od służby państwowej. Są to wszystko Rosjanie czy zaprzędani zupełnie Rosji karierowicze. Na ich miejsce przychodzi tłum Polaków, ściąganych przez Wielopolskiego z Galicji i Poznańskiego, czasem Litwy, gdy miejscowych wykształconych ludzi jest za mało. Równoległe do tego postępuje reforma agrarna. Była ona paląco na czasie. Gorączka demonstracyj jaka ogarnęła od lutego miasta przerzuciła się już od marca na wieś. Tylko z tą różnicą, że miasto szło przeciw Rosji, gdy wieś przeciw dworowi. Wielopolski pamiętał o roku 1846 w Galicji. Toteż z pośpiechem, już 16 maja, wydał ustawę która wprowadzając okup pańszczyzny położyła jej kres na ziemiach Królestwa Kongresowego. Było to przed powstaniem, przed aktami carskimi, przed Milutinem i całą późniejszą działalnością caratu zmierzającą do skłócenia na zawsze polskiej wsi i polskiego dworu. Projektuje ustawę o samorządzie gminnym, która władzę na wsi przenosi z rąk właściciela folwarku, ziemianina, do rąk samych chłopów. Wprowadza w ciągu lata 1861 wybory do nowych, powołanych

z jego inicjatywy, ciał samorządowych, powiatowych, gubernialnych i miejskich, a wreszcie rozpoczyna pracę nad dwiema reformami które w pełni wejdą w życie dopiero w następnym roku: szkolną i żydowską. Pierwsza polegać będzie na wyposażeniu Królestwa w 3,000 szkół początkowych, 24 powiatowe, 15 gimnazjów, Liceum w Lublinie, Szkołę Główną w Warszawie i Instytut Politechniczny w Puławach; druga, rozpoczęta już teraz, na pełnym równouprawnieniu żydów.

Rzecz jasna, że żadna z tych reform nie była zmianą rewolucyjną. Rosyjscy, lub Rosji oddani, historycy, próbowali potem atakować szczególnie ostro reformę agrarną Wielopolskiego, jako reakcyjną. Podchwycili to potem historycy sowieccy. Istotnie, reforma wprowadzana przez Wielopolskiego nie była marksowską. Była jednak taką jak analogiczne reformy w Prusach, w Anglii, w Danii, na Zachodzie, najbardziej właśnie w Anglii, gdzie po dziś dzień utrzymało się oczynszowanie, znaczna część gruntów nie jest własnością tych co je uprawiają, a mimo tego dobrobyt angielskiego farmera nie jest, o ile się nie myli, niższy od stopy życiowej rosyjskiego kołchoznika. Nieszczęściem Polski było to że przy wielkim przyroście ludności nie miała dla niej takich ujęć jak Anglia, — w przemyśle, w koloniach, na obszarach bezludnych a zamorskich, i to wszystko co odciążało corocznie wieś angielską, stłaczało się tylko w polskiej. Zgodnie z reformą Wielopolskiego chłop został zwolniony od pańszczyzny, ale nie otrzymał jeszcze własności ziemi. Reforma nie załatwiała sprawy bezrolnych których na wsi było koło miliona, co stanowiło niemal ćwierć całej ludności Królestwa. Zakres uprawnień samorządu był szczupły, raczej doradczy tylko: (choć, nawiasem mówiąc, znacznie jeszcze rozleglejszy od tych ram w jakich za naszych czasów obracał się samorząd w niepodległej Polsce). Równouprawnienie żydów znało pewne ograniczenia: ale były one wyraźnie przejściowe, i miały wygasnąć ostatecznie z chwilą gdy polska szkoła i przymus polskiego języka (narzucony żydom w aktach prawnych) dokona asymilacji. Wielopolski był niewątpliwie konserwatystą. Ale należał do konserwatystów tego rodzaju co Disraeli w Anglii, Stein i Hardenberg a potem Bismarck w Prusach, którzy zamiast lewicy sami przeprowadzali reformy. Z tym wszelako, że kraj który reformował był bardziej od tamtych zacofany, a społeczeństwo nie udzielało poparcia. Lewica „czerwonych” nie przyjmowała żadnych reform, póki nie będzie niepodległości: prawica „białych” nie popierała ich także.

Zjawisko jest bardzo ciekawe. Przeglądając literaturę epoki trudno znaleźć u współczesnych sądy krytyczne o reformach Wielopolskiego. Nienawidzono człowieka; chwalono dzieło. W sprawie agrarnej zasięgał zdania fachowców, ziemian i ekonomistów: w sprawie szkolnej pedagogów, uczonych i pisarzy: w administracyjnej, korzystał z wzorów obcych i biurokratów zawodowych: w żydowskiej z szeregu postępowców. Któż mógł oponować przeciwko polszczeniu administracji, tworzeniu całej sieci polskich szkół i dwu wyższych uczelni? Wprowadzaniu samorządu? Ba! Nawet kwestia żydowska w owych czasach wyglądała inaczej niż za naszych. Ruch rewolucyjny na wyprzódki z konserwatystami starał się wciągnąć żydów do polskiego społeczeństwa, pchał ich do demonstracji narodowych, do modłów za ojczyznę. Owa sielanka polsko-żydowska, taka nie do pomyślenia w innych czasach, wywołała wreszcie łagodne sprzeciwy duchowieństwa, które nie widziało racji aby w dniu rocznic narodowych Gęsia i Nalewki zapelniały kościoły, lub żeby bardziej patriotyczni narodowcy posuwali swe uczucia aż do uczęszczania na modły w synagogach. Nie było też jeszcze tłumów nagnanych z Rosji „litwaków” a faktycznym ministrem skarbu powstania styczeniowego miał być niebawem bogaty asymilant — Kronenberg. Także i żydowska ustawa Wielopolskiego nie mogła oburzać opinii. — Ale, jak i inne reformy, nie

pociągnęła jej. Naród stał obojętny. Najlepiej przyjął jeszcze przeprowadzone z końcem lata wybory do samorządów oraz nominacje do Rady Stanu. A gdy po nagłej śmierci starego Gorczakowa i przejściowych rządach generała Suchozaneta przybył z Moskwy nowy namiestnik, zruszczały francuz hrabia Lambert, jedyną troską umiarkowanych były starania aby te pożyteczne niewątpliwie reformy przeprowadzał kto inny. Pan Andrzej.

Jak wytłumaczyć zjawisko że obóz który na wiosnę przybierał „postawę Rejtana,” jesienią już rozmyśla o tym aby samemu robić to co wtedy określał pochopnie „nową Targowicą”? Dlaczego w lutym porozumienie z Petersburgiem było zbrodnią, gdy je zawierał Wielopolski, a w październiku byłoby zbawienne, gdyby je robił Zamoyski? Czym wytłumaczyć te zmiany? Czy w międzyczasie carat przedzierzgnął się w anioła? Czy może naraz dawał Kresy, konstytucję, odrębne wojsko? Też nie. Czy kozacy przestali siec nahajami? Jak na złość, siekli właśnie jeszcze bardziej. Jakież jest więc wytłumaczenie tego, że ci co przed dziesięciu miesiącami uważali porozumienie z Petersburgiem za zdradę stanu, teraz dawali do poznania że przestanie być zdradą stanu, jeśli zawrą je oni? Jest tylko jedna na to odpowiedź. Nawet przeciwnicy Wielopolskiego zrozumieli wreszcie, że niepodległej Polski tak bardzo jeszcze „nie czuć w powietrzu” jak o tym wróżył wieszcz pan Andrzej Zamoyski, musieli przyznać że reformy ich wroga przyniosły Polsce wiele, i że kulawe porozumienie jest lepsze od braku porozumienia. Ale doszedłszy do takiego pomysłu nie zaczęli wcale Wielopolskiego popierać. Zaczęli go tym silniej zwalczać. Aby, rzecz prosta, zająć jego miejsce. W tej właśnie chwili jesiennej to Wielopolski przeszedł do ataku. Po śmierci Gorczakowa miał z jego następcami na namiestnictwie warszawskim najgorsze stosunki. Suchozanet, Lambert, wreszcie Luders, trzech generałowie kolejno wysłani do Warszawy, wzmagali tak czy owak terror wojskowy i bezprawia. Kraj był znowu między falą narodowych obchodów i pogrzebów, a szarżami kozaków. Wielopolski żądał coraz więcej i coraz stanowczej, i to właśnie w tym okresie kiedy prawicowa opinia topniała jak wosk. Podawał się do dymisji. Wreszcie otrzymał rozkaz z Petersburga udania się do cara.

W Warszawie wszyscy sądzili że kariera „markgraфа” jest skończona. Radość jaka zapanowała wśród biurokracji rosyjskiej Królestwa równała się chyba tylko tej radości jaka promieniała na salonach polskiego społeczeństwa. To prawda, że Rosja wprawdzie nie została odepchnięta do Dniepru: no, ale za to Wielopolski padł! Wielopolski zaś istotnie udał się nad Nową i z wykonaniem rozkazu carskiego zwlekał tylko. Już niepokojono się w Rosji i zastanawiano czy nie wezwać oponenta kibitką?

Ale oponent pozostał w Warszawie dla jednej małej racji. Oto 3 listopada miało nastąpić otwarcie kursów przygotowawczych do przyszłego uniwersytetu otwieranego w Warszawie pod nazwą Szkoły Głównej. I człowiek stary bez którego Polska nie miałaby tej uczelni nie mógł sobie odmówić, wśród tylu cierpień i walk, jednej małej radości: widzenia tej chwili.

Po czym odjechał. I znowu, jak to w Polsce bywa, odczuto naraz, po niewczasie, jego brak.



## IV.

### PETERSBURSKIE ZWYCIĘSTWO

Od paru dziesięcioleci Petersburg był dla Polaków groźną Mekką caryzmu, panującą zza mgieł północnych, dworskich assambli i kawalergardzkich parad nad ich krajem. Tam spędził swe lata niewoli Tadeusz Kościuszko, swą starość Stanisław August, odnosił pierwsze tryumfy Mickiewicz a obecnie jeszcze dogorywał tajemniczy więzień stanu Walerian Łukasiński. Jednocześnie wszelakie Telimeny, a poza tym Wielhorscy i Chreptowicze, następcy i dziedzice Targowicy, rozkochani może nie w Rosji ale na pewno w caracie reprezentowali na salonach Polskę w nieco podobny sposób jak książęta Mingreli czy Mdivani Kaukaz, a skośnookie emirzeta lenne chanaty Chiwy i Buchary. Petersburg był połączeniem grozy i możliwości, wykwintu i barbarzyństwa, mocy i melancholii. Ludzi po których wczoraj zajeżdżała dworska karoca mogła jutro wywieźć daleko policyjna kibitka. Na tronie carskim zbyt często syn wariat zasiadał po genialnej matce, brat żandarm po bracie mistyku, syn „liberal” po papie stupajce. I nawet przedział generacji jeszcze tego nie zmieniał, bo „liberal” mógł na starość zakrzepnąć w tyрана, a tyran mógł w sobie odkryć na starość niktę nitki „liberalizmu”. Teraz był Aleksander II-gi i on to niebawem, po kanclerzu Górczakowie—(kuzynie zmarłego w maju namiestnika) — przyjął na dłuższej audiencji Wielopolskiego. Był to bodaj ich pierwszy osobisty kontakt. Car wysłuchał długiego raportu, podobnie jak sliedowatiel w bliższych nam czasach wysłuchiwał opowiadania. Wielopolski uderzył w jedną stronę rządów w Królestwie; w system wojskowy. Przed oczyma cara który pozował na liberalizm, który chciał być Europejczykiem, jeździł do Erfurtu, Stuttgartu, Paryża, Londynu, przedstawił sceny batożenia panien „z dobrego domu” przez Baszkirów lub Kozaków, jawnych złodziejstw na wysokich szczeblach, wpadania do kościołów podczas nabożeństw. Cytował daty, fakty, nazwiska. Mówił o tym nie jako o krzywdach Polski, ale jako o błędach regimie’u. Car słuchał. Władcy Rosji, niezależnie do jakiej należą dynastii, nie lubią mieć złej prasy na Zachodzie, choćby nie wiedzieć jak gardzili Zachodem. Car wiedział że te, takie i tym podobne rzeczy są powtarzane echem przez gazety francuskie, angielskie, belgijskie, że tych kilkanaście tysięcy polskich emigrantów jakich wygnał na Zachód rok 1831 przynajmniej jednego dokonało w toku swego zmarnowanego żywota: zohydziło światu Rosję. Nim oni nie przyszli młode imperium Romanowych było opromienione sławą mądrości Katarzyny Wielkiej, przyjaciółki Voltaire’a i Diderota, sentymentalnym liberalizmem Aleksandra Pierwszego, świetnymi zwycięstwami Suworowa, Kutuzowa, Bagractiona. Europa była wdzięczna Rosji za to że miecz rosyjski skruszył na białych swych polach ówczesnego Hitlera. Tymczasem w kilkadziesiąt lat później Rosja stała się krajem znieawidzonym, pogardzanym i ośmieszonym. Pewno nie sama polityka reakcyjna Mikołaja sprawiła tę zmianę: ale niemało przyczynili się do niej i rozsiani wszędzie po 1831 roku polscy emigranci którzy pisaną i ustną propagandą ukazywali Rosję od strony wyrazów jakie Zachód od nich się uczył: *knut, kibitka, ukaz, kozak, zsyłka, Sybir*. Teraz, słuchając Wielopolskiego, car wiedział, że wszystko co mu mówi ten Polak będzie jutro w gazetach angielskich i francuskich, jeśli już nie jest w nich dzisiaj. Car wiedział, że jeśli ten system i ci ludzie będą dalej rządzić wojskowo Królestwem, to propaganda antyrosyjska będzie miała wieczny materiał do wykorzystania. A Wielopolski mówił: usuńcie wojsko rosyjskie od rządzenia, wprowadźcie polskie rządy cywilne, będziecie mieli spokój.

Ludzie rządzący Rosją rzadko dają odpowiedzi na samych audiencjach. Może jeden Stalin jest tego wyjątkiem ze swymi błyskawicznymi decyzjami. Car pożegnał margrabiego bez wyraźnej odpowiedzi. Ale z Rosji nie wyjeżdża się łatwo, i Wielopolski pozostał w Petersburgu, formalnie dla zreferowania w Radzie Państwa projektu swych reform. Reformy te tymczasem uwięzły w innym ciele opiniodawczym: w owej stworzonej właśnie, a raczej wskrzeszonej tylko, warszawskiej Radzie Stanu. Prezydował tam teraz namiestnik, generał Lüders, zapamiętały wróg Wielopolskiego, który właśnie Lüdersa najczarniej osmarował przed carem: zasiadało w nim paru biurokratów rosyjskich czy zruszczałych, dla których Wielopolski polszczyjący urzędy był oczywiście wrogiem numer jeden. Toteż utracali jak mogli jego projekty reform. Zamiast jednolitej szkoły chcieli wprowadzić podział narodowościowy w szkolnictwie Królestwa, traktując osobno Polaków, Żydów i Niemców, a zatem wytworzyć trójnarodowość, niczym dziś Frank w Generalnym Gubernatorstwie. Najskuteczniej zsabotowali projekt ustawy o zniesieniu pańszczyzny, właśnie wprowadzany w życie. Obalili go wprost. Wielopolski w odpowiedzi podaje się raz jeszcze do dymisji z obu tych stanowisk jakie posiadał w rządzie Królestwa: wyznań i oświaty oraz sprawiedliwości. 7-mego grudnia car „przychyla się” do tej prośby i daje margrabiemu dymisję, z jednoczesnym powołaniem go do owej Rady Stanu oraz z błękitną wstęgą jednego z wysokich orderów jaki aż do przedwiośnia 1917 roku mieli nadawać carowie rosyjscy. Musiała ona przypominać panu z Chrobrza niejeden portret rodzinny, pamiątki zamarłej przeszłości i smutną terażniejszość. Na carskim orderze widniały bowiem łacińskie litery napisu „Pro fide, rege et gregae” i lśnił orzeł, ani barwą ani kształtem nie przypominający czarnego bizantyjskiego orła Romanowych. Był to order Orła Białego.

Bardzo często ci co chcą nam zaszkodzić właśnie nam najwięcej pomagają; skargi generalicji rosyjskiej na Wielopolskiego pomogły mu najwალniej tym właśnie wezwaniem do Petersburga. Petersburg chciał wiedzieć kim jest ów Polak którego zachwalał zmarły namiestnik Gorczakow, a nienawdzili jego następcy, ten Polak na którego szły nieustanne donosy że jest ucieleśnieniem mickiewiczowskiego Wallenroda i wprowadza w życie, przeciwko Rosji, tamten sen poety. Toteż pierwszym uczuciem w stosunku do „margrafa” była ciekawość. Nie tylko cesarz był ciekaw. Ciekaw był i kanclerz Gorczakow i minister Wałujew i prezes rady państwa stary Błudow, ciekawi byli — (jak ongi Kościuszki, choć inaczej) — wielcy książęta i wielkie księżne, ludzie polityki i ludzie opinii. Wreszcie ciekawym był korpus dyplomatyczny. Sprawa polska stawała się właśnie na nowo sprawą dyplomacji światowej, jak była nią w roku 1830, lub za wiedeńskiego kongresu, albo później, w 1920, albo jeszcze w tragicznej chwili kiedy wystukujemy te litery. Na chwilę, nie na długo, gdzieś po jednych rzeziach armeńskich a nowych awanturach hiszpańskich, ale była. W raportach, w szyfrach, w sprawozdaniach prasowych było pełno o Polsce: znużeni śmiertelnie dyplomaci musieli naraz uczyć się gdzie leżą Suwałki, co to była Unia Horodelska, co to są ci Unicy, i jakie są szanse na otwarcie zamkniętych w Warszawie kościołów? W kraju Polacy wiedzieli o tym zainteresowaniu i serca ich wzbierały nadzieją: sprawa polska wypływa więc znowu, tym razem zawinie do portu! Byli oczywiście przekonani, że dyplomaci Zachodu myślą tylko nad tym jak stworzyć, wzorem Włoch niepodległych czy Grecji, niepodległą Polskę. Oczywiście mylili się bardzo. Właśnie najzyczliwsi Polsce dyplomaci myśleli — w jej interesie — o tym aby ją możliwie najdogodniej pogodzić z Rosją. Wielopolskim musieli się zainteresować. Wielopolski był bowiem przedstawiany zgodnie jako jedyny Polak który wyznaje ten program. Dzięki niemu sprawa

polska może zejść z martwego punktu w jakim znajduje się obecnie, może przestać zatruwać stosunki międzynarodowe, zaprzętać Korpus Dyplomatyczny unitami i Suwałkami. Jest to Polak kompromisu.

Poprzez długie dziesięciolecia utrzymywała się legenda o olbrzymim szarmie towarzyskim któremu Wielopolski zawdzięczał to, że znad Newy dokąd jesienią wyjechał potrosze jak zesłaniec, powróci do Warszawy wiosną nieomal jak dyktator. Istotnie, ten człowiek w tym środowisku mógł i umiał czarować. Z nazwiskiem, z manierami, łączył dużą kulturę osobistą, głębokie wykształcenie, wysoką inteligencję. Należał jeszcze do owych pokoleń, z XVIII wieku ród wiodących, u których wykształcenie nie zionęło profesorską nudą, a salonowość nie pokrywała się z bubkarstwem. Niezawodnie tym właśnie jednal przede wszystkim kobiety, jak ongi panią Pankratiew, córkę namiestnika Gorczakowa, jak piękną i wpływową panią Calerghi, a teraz narwaną i czynną Antoinette Błudow i wielce wpływową w.ks. Helenę. W Petersburgu, jak w niejednej ówczesnej stolicy, salony były potęgą. (Miały nią pozostać aż do ostatnich dni monarchii, a ostatnim ich ulubieńcem i protegowanym miał być, znany nam nieco inaczej niż margrabia, Grisza Rasputin.) Otóż salony Wielopolski podbił. Ale cały szarm osobisty nie ważył ani wtedy, ani potem, tyle ile sobie niejeden z polskich czarusiów wystawia. To co decydowało były poglądy. I otóż zarówno ambasador brytyjski, Lord Napier, jak i francuski, Fournier, byli po paru tygodniach nie mniejszymi poplecznikami Wielopolskiego jak Błudow i Rosjanie z dyplomacji. W tym samym czasie Austriak hrabia Thun stał się jego petersburskim wrogiem, a przedstawiciel Prus zaniepokoił się mocno. Ów przedstawiciel Prus nie był to byle kto. Niebawem miał opuścić Rosję i rozpocząć swoją wielką historyczną karierę, związaną na zawsze ze wspomnieniem Sedanu, jeszcze bardziej Wersalu, z utworzeniem niemieckiego cesarstwa i z nazwą, jaką mu dano, „żelaznego kanclerza”. Nazywał się Bismarck.

Tajemnicy dlaczego zaraz ów dymisjonowany Polak zainteresował tak żywo petersburski korpus dyplomatyczny należy szukać w polityce tych państw. Wielka Brytania w owym czasie nie szukała zadrażnień z Rosją. Przeciwnie, była zwolenniczką pokoju. Nie podniecała też w żaden sposób kwestii polskiej. Przy swej zwykłej skłonności do kompromisu i postępu patrzyła z zadowoleniem na liberalizowanie się i europeizowanie Rosji, z niechęcią na jej nawroty reakcyjno-samodzierzawne. Uwłaszczenie włościan, łagodny kurs w stosunku do Finlandii i Polski, popuszczenie cugli w samej Rosji, oto były rzeczy które lord Napier, prasa brytyjska i rząd Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii pochwalał, jeśli dostrzegł. Wprawdzie byli w Anglii równie namietni jak nieliczni zwolennicy sprawy polskiej, obsyłający parlament protestami i wołający o Polskę w granicach 1772 roku (nie zawsze wiedząc co ta data terytorialnie oznacza), wprawdzie aż dwanaście miast angielskich w tym m. innymi i Cupar—miało pisać niebawem do Izby Gmi; ale poważna polityka brytyjska tak daleko nie szła. Była natomiast skłonna pomagać Polsce w uzyskaniu większych czy mniejszych ustępstw. Wielopolski który szedł na porozumienie z Rosją miał więc z tej strony wiatr w swe żagle. Miał je i z francuskiej. Fournier był roztropnym dyplomata mglistego Napoleona III-ciego. I wtedy i potem miał on stawiać na porozumienie francusko-rosyjskie. Ale Fournier wiedział, że na drodze do tego porozumienia tkwi stale, jak cień, sprawa polska, że polska emigracja we Francji psuje mu i tak trudną robotę, a każda wieść o zamieszkach w Warszawie jeszcze ją bardziej uniemożliwia. Fournier był nieraz pomawiany przez Polaków o nieżyczliwość Polsce. W istocie był lepszym przyjacielem Polski niż wielu innych Francuzów którzy w tym czasie bądź z lekkomyślności, bądź gorzej, dla własnej francuskiej gry, pchali Polaków przeciwko Rosji, zagrzewając ich do oporu, choć wiedzieli

dobrze że Napoleon III-ci jak przyjdzie co do czego zostawi Polaków na lodzie. Fournier nie obiecywał Polakom tego w imieniu Francji czego Francja i nie chciała i nie mogła im dać. Ale Fournier nie odwracał się też z całym cynizmem od Polski jak to później robili ministrowie spraw zagranicznych francuskich z parnych lat przed pierwszą wojną światową. Fournier także chciał kompromisu. I znowu w interesie porozumienia francusko-rosyjskiego musiał popierać Wielopolskiego. Tak samo w dyplomacji rosyjskiej pozyskiwał Wielopolski aliantów. Dlaczego? I to nie jest tak wielką zagadką. Dyplomaci rosyjscy mieli już dosyć tych ciągłych kwasów jakie wywołuje na Zachodzie zachowanie się rosyjskich czynowników w Królestwie. Wiedzieli oni, że reformy w Warszawie będą miały „dobrą prasę“ na ich placówkach, a stan oblężenia czy zamykanie kościołów wywiera przeciwie najfatalniejsze wrażenie. Tak carski M.S.Z. był przeciwko carskiemu M. S. Wew.

Nieprzyjaziń jaką okazywał za to Wielopolskiemu ambasador austriacki hrabia Thun była niemień cęnną jak przyjaźń angielska i francuska. Austria była mocno niepopularna nad Nęwą. Pamiętano jej „niewdzięczność“ za rok 1848, kiedy Rosja dławiąc powstanie węgierskie ratowała koronę Habsburgom, wytykano jej że u schyłku wojny krymskiej stanęła przeciw Rosji, niemylm był jej katolicyzm, pogardę wzbudzała słabość. A wreszcie prądem podskórnym jaki nurtował w Rosji był właśnie panslawizm. Pisarze, doktrynerzy, młodzież, armia i cerkiew były pełne litości nie tylko dla braci Serbów, ciemniezonych przez Turków, ale jeszcze i dla braci Czechów, a także braci Słowaków i braci Rusinów i braci Chorwatów i wielu innych jeszcze braci których ciemieży katolicki Niemiec z Wiednia. (Zjazd praski Słowian w burzliwym roku 1848 nie pozostał, jak widzimy, bez echa.) Ten panslawizm miał dla Polski swoje niebezpieczeństwa i swoje nadzieje. Niebezpieczeństwa, bo zmierzał przeciw do „złania wszystkich słowiańskich rzek w jedno rosyjskie morze“: nadzieje, bo — zdawało się — że głosiciele słowiańskiej idei nie mogą przecież tępić do spółki z Germanami jednego z czołowych słowiańskich narodów. Wiatr słowiański dał więc częściowo w żagle Wielopolskiego, ale nieraz zwracał się przeciwko niemu. Dlaczego? Bo Wielopolski sztandar słowiańskiego wyraźnie nie rozwinął. Prawda, był jego list do Metternicha, był jego udział w zjeździe praskim, był panslawizm jego szwagra i o panslawizm pomawiali go jego wrogowie w Polsce. Ale Rosjanie wiedzieli, że w Polsce się bardzo chętnie przyklepia ludziom poglądy których nigdy nie wypowiadali, i wiedzieli, że Wielopolski nie wypowiada się zbyt jasno w tej sprawie. Mamy zbyt mało materiału w ręku by odpowiedzieć i na to pytanie czemu zachowywał tę rezerwę. Może odegrały tu rolę względy zasadnicze. Panslawizm był antykatolicki: Wielopolski był zagorzałym katolikiem, panslawizm był antyszlachecki; Wielopolski czuł się mocno szlachcicem, panslawizm chciał Polskę — wprawdzie w dalekiej przyszłości — roztopić w słowiańskim morzu; Wielopolski chciał odbudować w Polsce polskie państwo. Panslawizm wreszcie kulturował w Rosji pogardę do „zgnitego“ Zachodu; Wielopolskiego całe jego wykształcenie trzymało z tym Zachodem. Bliskim był mu nie Puszkina, ale Goethe, nie Samarin a Hegel, nie Kołomna, ale Getynga. Synów wychowywał w śląskim Wrocławiu, a nie w Korpusie Paziów. Byłoby to dość wiele racyj. Ale poza tym były raczej taktyczne. Może niemniejsze niż tamte.

W ciągu obecnego opowiadania już nieraz potykaliśmy się ze strony, Rosjan o nazwiska niemieckie, takie jak Lüders, jak Kruzenstern, jak Hube a było ich jeszcze więcej i w Warszawie i w Petersburgu. Dwór, armia, dyplomacja, administracja była pełna zruszczałych Niemców. Jedni przyciągnęli z głodnych Niemiec nazreć się rosyjskiego kołacza, inni byli

to dumni baronowie bałtyccy. Żony cesarzy od pokoleń były Niemkami. Prąd słowiański dopiero zaczynał podmywać ten stan rzeczy i aż do upadku nie zdołał go podmyć ostatecznie. Wielopolski liczył się z t. m. Miał zbyt wiele wrogów by szukać jeszcze jednej wojny. Za to tam właśnie poszukał sobie aliantów. Był spokrewniony z Meyendorffami, z Nesselrodami, miał protektorki w Niemkach wielkich księżnach. Wolał wygrywać tutaj swój arystokratyczny kosmopolityzm, niż antyniemiecką słowiańskość. Nie mówił też pewnie jeszcze o Poznaniu ani o Śląsku, choć wiemy że kiedyś o nich myślał gdy nie myśleli inni. W rezultacie mniej sobie pozyskał słowianofilską opinię, za to znacznie bardziej miarodajny, dworsko-dyplomatyczno-urzędowy Petersburg. Toteż już z początkiem roku 1862 święcił pierwsze sukcesy. Ich zapowiedzią była głośna scena w dniu Nowego Roku kiedy w Pałacu Zimowym Aleksander II-gi przyjmował życzenia. Wielopolski nie zajął wtedy miejsca wśród administracji i dygnitarzy rosyjskich do których przynależał jako członek Rady Stanu, ale podrażował najspokojniej w szeregi posłów i ambasadorów państw obcych. „Reprezentuję tu *króla polskiego u rosyjskiego cesarza*” miał rzec — wedle anegdoty — ochmistrzowi dworu. „Gordyj Paliak” postawił na swoim i owego jednego jedyne go Nowego Roku w czasie całego stulecia przedstawiciel nieistniejącej Polski figurował obok posłów Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, Hiszpanii. Anegdota dotarła do Warszawy, a że Polacy lubią tylko gesty więc naraz jakimś łaskawszym okiem spojrzano na margrabiego. Rosyjscy biurokraci nad Wisłą, którzy jak szarańcza poleźli na stanowiska które opuścił, ponownie przykucnęli z wrażenia.

\* \* \*

Niebawem miało się okazać, że wpływ Margrabiego nie tylko nie zamarł nad Nową, ale dopiero rozkwita. Przede wszystkim przeprowadził on nominację nowego arcybiskupa warszawskiego. Było to walne zwycięstwo. Ze swym programem odsunięcia Kościoła od polityki Wielopolski stał się w zeszłym roku wrogiem numer jeden dla polskiego duchowieństwa, i schorzały arcybiskup Fijałkowski, równie zacny co mierny, udrapował się w ostatnich miesiącach swego życia na nowego Stanisława Szczepanowskiego gotowego umrzeć za wiarę z rąk nowego Bolesława Śmiałego, jakim w tej teatralnej charakteryzacji miał być Margrabia. Kiedy zmarł, ruch narodowy wykorzystał jego pogrzeb dla demonstracji z tym samym zamiłowaniem do zerowania na pogrzebach z jakim czyniono to w Polsce nie tylko w owych czasach. Jego tymczasowy zastępca, zacny ksiądz Białobrzeski, był jeszcze bardziej w ręku nastrojów ulicy i młodzieży, co wszystko zakończyło się zamknięciem kościołów dla ludu, a Białobrzeskiego w cytadeli. Teraz chodziło o następcę. Miał on otworzyć kościoły, uspakając wiernych, prowadzić duchowieństwo. W tak religijnym i w dodatku podnieconym społeczeństwie była to jedna z kluczowych pozycji. Toteż i kapituła warszawska i rosyjska władza wystąpiły z kandydaturami. Pierwsze z nich byłyby doskonale gdyby chodziło o zamienienie ambon na trybuny: drugie byłyby jeszcze lepsze gdyby chodziło o przerobienie konfesjonau na dodatkowy departament policji. Kandydatury brakło. Wielopolski rozejrzał się szerzej i z zupełnego ukrycia wydobyl niespodzianie młodego księdza o ciekawej przeszłości. Jego matka należała do radykalnego spisku Konarskiego po latach 1830-dziesiątych, on sam był ranny w bitwie pod Miłosławiem w 1848 roku w Poznańskim, a jeszcze przedtem w małym mieszkaniu w Paryżu asystował ostatnim chwilom Juliusza Słowackiego. Nazywał się Zygmunt Feliński. Zdawało się, że kto jak kto, ale właśnie patriotyczna Warszawa przykłaśnie takiemu wyborowi: oczywiście, rozłościła się jeszcze. Młody arcybiskup w lutym objął władzę w swej trudnej diecezji. W lutym też, o dzień przed tym wydarzeniem, Wielopolski

składał w Petersburgu swój ostatni memoriał. Był to jakby rozkaz natarcia wydany po długim artyleryjskim przygotowaniu.

W tym memoriale, który w ten czy inny sposób znał cały miarodajny Petersburg, Wielopolski posuwał dalej swe rozumowanie. Co dał, zapytywał w memoriale, ów stan wojenny trwający w Królestwie od tylu miesięcy? Czy powierzenie sprawy czynnikom wojskowym przyniosło obiecany spokój? Czy ustały demonstracje, wrzenie, starcia? Czy prasa europejska przestała zapełniać się przykrymi dla Rosji wiadomościami znad Wisły? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko negatywna. Całe wrzenie nie tylko nie ustało pod zbawiennym wpływem nahajki, ale jeszcze się wzmoгло. Zarazem Wielopolski parował możliwe zarzuty. Może to jednak reformy nie dały rezultatu? Może i one nie przyniosły uspokojenia? Tak, ale nie przyniosły ich dlatego, że przyszły za późno, że były tylko połowiczne, że jednocześnie władza w Królestwie pozostała w ręku generalskich stupajek. Trzeba dalej posunąć reformy i trzeba usunąć stupajki. Rządy w kraju muszą być polskie i muszą być — cywilne.

Memoriał uzasadniał reformy już zakreślone przez Wielopolskiego przed niespełna rokiem, a zarazem wyrażał jego pogląd na sprawy polskie. Oto jak na przykład bronił dwóch swoich reform socjalnych: oczynszowania włościan i równouprawnienia żydów: „te dwie warstwy ludności, dotąd w poniżeniu zostawione, przeznaczone są na to aby społeczność odnowić *ograniczając i zrównoważając* przewagę zwioliu szlacheckiego”. Nie tykając trzech niemożliwych dla Rosji rzeczy, to jest konstytucji, armii i Kresów, żądał najszerzego wyodrębnienia Królestwa. Ku temu miały służyć ustanowienia „naczelnika rządu cywilnego” któremu podlegałaby cała władza w kraju, z wyjątkiem wojskowej. Powinien być nim Polak. Ale Wielopolski wiedział dobrze, że tak daleko Rosja nie pójdzie i uzupełniał ów projekt inną instytucją. Oto Królestwem rządził od dawna cesarski namiestnik. Byli nimi teraz kolejno różni generałowie rosyjscy, ale kiedyś był nim (faktycznie) wielki książę Konstanty Pawłowicz, brat twórcy Królestwa, Aleksandra 1-ego, ponury bohater parad na placu saskim. Jeszcze przedtem był nim oficjalnie polski generał Zajączek. Trzeba wrócić do tamtej tradycji, to jest poszerzyć z powrotem rolę namiestnika i zamianować nim „księcia krwi cesarskiej”. Oto co sugerował projekt Wielopolskiego. Dwie kandydatury były brane pod uwagę. Jedną z nich była osoba brata cesarskiego. Był to także jak ongiś, Konstanty, ale liberał, sławianofil i zwolennik reform. Drugim był przebywający nad Nową księżą meklemburski. Skąd niemiecka kandydatura u „panslawisty” Wielopolskiego? Ano, może i dlatego że dynastia meklemburska, spokrewniona wtedy z rosyjską, wywodziła się w prostej linii od zachodniosłowiańskich dynastów obotryckich. Pod niemieckim pokostem trwały w niej ślady słowiańskie. I jedna i druga kandydatura wprawiała też w ruch koła dworskie. Obie wprawiały także dyplomację europejską.

Na owym przedwiośniu 1862 roku nieustające demonstracje w Warszawie podnosiły bowiem krótko-trwale sprawę polską. Polska na nowo wchodziła na pierwsze kolumny dzienników, występowała w debatach parlamentarnych, w wiecowych rezolucjach. Ci co nadstuchiwali tych ech z Warszawy mogli się cieszyć ze swego dzieła. Niebawem jednak zawiedli się w jego skutkach. Stało się to przede wszystkim w Anglii. Nawet przyjazny Polsce Lord Carnarvon składając petycję 12 miast brytyjskich o interwencji rządu królewskiego w sprawie polskiej skarżył się na „pierwiastek uczuciowy” jaki w tę sprawę wnoszą „niepotrzebnie” Polacy. Jeszcze więcej wody na głowę lał potem Palmerston, a może najwięcej dokuczył sam leader gabinetu lord Russel. Lord Russel prowadził ostrożną i umiarkowaną politykę. Nie pochwalał wcale metod stosowanych przez Rosję nad Wisłą: ale wiedział że żądania polskie można wymusić na Rosji

tylko przez wojnę: i lord Russel nie zamierzał wcale obiecywać Polakom tej wojny. Było to niewątpliwie stanowisko uczciwe, odmienne od tego jakie zajmowali ministrowie Napoleona III. Postawiony między cesarskim bezprawiem, a polskimi żądaniami lord Russel, bardzo po angielsku, szukał kompromisu. Jedyną nadzieję jaką mógł rzucić i Polsce i jej przyjaciółom było bardzo angielskie oświadczenie. „Polak został wezwany do Petersburga i o tyle o ile ogólnym pogłoskom wierzyć można rada jego była mądra i właściwa, jako pochodząca od męża żywo pracującego nad losem ojczyzny swojej, ale który uważa za niepodobiestwo rozerwanie jej związku z Rosją” Tak więc ów wiatr dyplomacji europejskiej, zasilany warszawskimi zaburzeniami, nie wiał w żagle tych co owe zaburzenia wzniecali, ale dął dalej w żagle ich przeciwnika. Polska wiedziała dobrze kim jest ów Polak „wezwany do Petersburga“ i tak chwalony przez brytyjskiego premiera. Ów Polak tymczasem był już jakby zmęczony prowadzoną od tyłu misją grą. „Z bliską rocznicą wstąpienia mego do rządu, pisał do żony, wyglądam z upragnieniem powrotu do Chrobrza, gdzie niedługo słonki nad brzeziłą ciągnąć będą”. Niebawem okazało się, że w warszawskiej Radzie Stanu przypadają akurat jakieś ważne obrady (wciąż nad tymi samymi projektami reform), i Wielopolski na parę tygodni pomiędzy marcem a kwietniem pociągnął nad Wisłę. Trochę może dla reform, trochę pewno i dla tych słonek. Ludzie, proszę państwa, są ludźmi.

W Warszawie jego pobyt zaznaczył się przykrymi aluzjami czynionymi i namiestnikowi Lüdersowi i jego czynowniczym asystentom na pełnym posiedzeniu Rady Stanu: groźny saldafon i ci co po Wielopolskim objeli jego teki mogli mieć teraz przedsmak niedalekiej przyszłości. Kiedy bowiem Wielopolski odjechał raz jeszcze do Petersburga, już rozkwitającego najwcześniejszą północną wiosną, wypadki dojrzały do rozstrzygnięcia. Jeszcze w maju car podpisał ukaz wprowadzający w życie reorganizację szkolnictwa w Królestwie Polskim, a w pierwszych dniach czerwca podpisywał kolejno inne ukazy, o równouprawieniu żydów i o czynszowaniu chłopów. Koronacją tego wszystkiego były jednocześnie dwie nominacje: jedną z nich wielki książę Konstanty, cesarski brat, ów liberal i sławianofil, zostawał namiestnikiem w Warszawie, drugą Aleksander Wielopolski obejmował stanowisko naczelnika rządu cywilnego. Wielki książę pozostał jeszcze nad Nową. Musiał przygotowywać sobie wjazd, dwór, świtę. Był to człowiek ambitny, który kiedyś podobno roił sny o tronie w Konstantynopolu, a potem jeszcze o koronie czeskiej. Nad Nową u boku brata cesarza było mu za ciasno, tak samo jak bratu cesarzowi ten młodszy brat deptał nieco po piętach. Wicekrólestwo w Warszawie leżało na pół drogi do Pragi. W razie wojny europejskiej mogło być do niej etapem...

\* \* \*

Wielopolski przed nim, dnia 13 czerwca, przybył do Warszawy i podobno nigdy potem nie mógł Warszawie zapomnieć jej chłodnego powitania. (To co przywoził to było przecież bardzo wiele, a wróżyło może zapowiedź zmian dużo większych. Był to świt nadziei po trzydziestu latach bezgwiazdnej nocy ucisku. Ale Warszawa pozostała obojętna i to nie tylko owego dnia, choć Wielopolski rozpoczął niewdzięczne zadanie zjednywania sobie rodaków. Na prezentacji, kiedy w jego nowej siedzibie, Pałacu Bruhlowskim na Wierzbowej, zjawili się notable Warszawy, pierwszym jego krokiem było skierowanie się do młodego arcybiskupa Felińskiego z prośbą o błogosławieństwo. Stary pan, wyposażony w władzę, obejmujący rządy w tym kraju, na pewno daleki od pokory, schylił publicznie i nisko głowę przed młodym księdzem, z jego rękojmi piastującym wysokie stanowisko w kościelnej hierarchii. „Pragnąłbym by pierwszy mój krok był zwróceniem się o błogosławieństwo do

przedstawiciela Kościoła” powiedział, i jeśli taki akt był dowodem „bezwzględnej pychy” o którą posądzano tego człowieka, to istotnie w Polsce nietrudno o opinię pysznego. Czy tak postępuje dyktator? Chyba nie. Dalszy krok także nie był potwierdzeniem rozpuszczanych legend. Obchodząc salony, witając się z przybyłymi ukłonem, paroma zdaniem, chwila rozmowy, tak by w tym tłumie nie pominąć nikogo, ujrzał w jednej z sal grupę ludzi stojących przy kominku, a wśród nich chudą, smutną, zamyśloną postać Pana Andrzeja. Niezwłocznie, na oczach wszystkich, zwrócił się ku niemu.

Zamoyski przybył do Pałacu Bruhlowskiego jako jeden z przedstawicieli Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Ale oczywiście, jeśli tylko nie chciał, mógł bardzo dobrze nie przyjść. Przyszedł. Stał za to zadany. Na ukłon Wielopolskiego odpowiedział ukłonem tak sztywnym że gdyby to uczynił margrabia, jużby warczano po salonach: „co za pyszałek!”. Wielopolski podszedł ku Zamoyskiemu z wyciągniętą dłonią. Obyczaj ówczesny był raczej zbliżony do angielskiego i nie szafował zbyt tym gestem. Ale Pan Andrzej ze swej strony nie zaszafował nim tym razem, — i margrabia, aby nie narazić się na przykrość towarzyską musiał dokończyć swój gest powitalny machnięciem ręki w powietrzu. Niemniej, nie skończył na tym. Wyraził radość, że widzi Pana Andrzeja i zapowiedział że gdy go ten jeszcze raz odwiedzi, to Wielopolski zapozna go z nowymi projektami reform: Zamoyski, upewniał margrabia, znajdzie w nich echa wspólnych klemensowskich rozmów. Czy można było uczynić coś więcej w stosunku do przeciwnika, który ostatecznie sam sobie zawdzięczał swe niepowodzenia? Wielopolski wyrażał wolę współpracy pomimo dawnych urazów, pomimo tego, że Zamoyski zjawiał się u swego wroga tylko po to by mu pokazać, nieco dziecinnie, swe humory. Dzieje podania ręki tych dwóch ludzi są zresztą dosyć znamienne. W parę tygodni potem miały się ich dłonie zetknąć jednak w uścisku: wtedy miał to sprawić wielki książę Konstanty. Okazało się więc, że na patriotycznego Katona działa znakomicie urok cesarzewicza. W wiele lat później, w Dreźnie, już po 1863 roku, Pan Andrzej z własnej już inicjatywy zapragnął uściskać rękę pokonanego margrabiego. Ale wtedy to już Wielopolski polecił odpowiedzieć smutnie i odmownie. Było za późno.

Odmalowałem tę scenę bo jest ona ogromnie znamieną dla wszystkich osób dramatu, bo pokazuje nam Wielopolskiego jako szukającego współpracy i porozumienia, a jego przeciwnika jako nadąsanego dzieciaka który sam nie wie czego chce. Scena była bardzo polska. Wielki człowiek który doszedł do władzy był skłonny do puszczania w niepamięć wszystkiego: społeczeństwo na sam widok sukcesu zamroziło się chłodem. W tym chłdzie było niewątpliwie wiele lodu zawiści, i dopiero w tej aurze pleniły się zarzuty. Co teraz miano za złe Wielopolskiemu? Gdzie leżały źródła tej niechęci? W dużej mierze w teorii szeroko rozpowszechnianej przez przeciwników Wielopolskiego. Kiedy im mówiono że uzyskał on nad Newą wiele, wydymali tylko niechętnie usta i dawali do poznania że sytuacja była tak „łatwa”, że „każdy” na jego miejscu uzyskałby wiele więcej. To co uzyskał było zaś „sprzedaniem za miskę soczewicy reform całego dziedzictwa Polski Jagiellońskiej”. Posłuchajmy co pisze historyk owych czasów: „W głowach majaczyło fałszywe przecucie wielkich komplikacyj w Europie i w Rosji wśród których Polska niepospolitą miała odegrać rolę, a stąd teoria mglista aby przyszłości nie zaprzedać, z Rosją się nie wiązać”.

Warszawa pozostała zaś obojętna nie tylko dla tych wszystkich przyczyn ale jeszcze i z tej racji że przez ów prawie rok życie polskie podzieliły między sobą dwie wielkie konspiracje. „Białych” i „czerwonych”. Historycy mówią nam o nich zawsze bardzo wiele, ale zawsze jako o czymś co już



jest i powstało, a nie pokazują nam jak powstawało i z czego. Organizacja „białych” wyrosła z dawnych kadr rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego. Miało ono w kraju ponad 3.000 członków, poważnych ziemian: teraz wchłonęło zamożniejsze żywioty miejskie. Gdyby Polska żyła życiem normalnym byłiby to pewno torysi czy konserwatyści ówczesnej Polski. Ale Polska nie żyła normalnym życiem wolnego narodu. Innym produktem jej nienormalnego życia była konspiracja „czerwonych”. Jakżeż ona powstała? Pierwszymi jej zaczątkami —poza załóżkiem stabiutkich dawniejszych spisków — była organizacja owej straży obywatelskiej którą Gorczakow pozwolił utworzyć po dniu Pięciu Poległych aby zastąpiła na ulicach Kozaków i Czerkiesów. Margrabia ją potem rozwiązał, ale znowu kadry przetrwały. Manifestacje narodowe w jakich wyspecjalizowała się Warszawa wymagały również coraz więcej organizacji i w nich też wydoskonaliły się odpowiednie kadry, — zwykle te same ze straży obywatelskiej. Kierowanymi nimi powstały niebawem organizacyjny ośrodek — „Komitet Miejski”. Z czasem, kiedy ruch przerzucił się na prowincję, komitet miejski stał się Komitetem „Centralnym”. Rzemieślnicy warszawscy, radykalna młodzież, dawni Sybiracy, czasem emisariusze z emigracji, — oto był ich główny element. W każdym innym kraju z takich elementów powstawały stronnictwa republikańskie, liberalne czy wprost lewicowe. Była to rzeczywiście lewica.

„Delegacja” —tak nazywano kierowniczy ośrodek białych—uznała wcześniej za swego wodza, choć nie należącego do niej, Pana Andrzeja. Czerwoni nie ustalili u siebie takiego kierownictwa, ale znaczna ich część pozostawała pod wpływem Pana Ludwika. Ale Ludwik Mierosławski, bohater procesu berlińskiego i 1848 roku, polski Garibaldi in spe był jednak daleko poza granicami kraju i szkolił sobie we Włoszech, w Genui i Cuneo, takim Coetquidanie owych czasów, przyszły narybek oficerski powstańczej armii. Pan Andrzej tak samo stał poza ruchem białych. Przeszedł w obu ruchach w nieobecności generałów wybili się podkomendni. U białych byli nimi Kurtz, Węgleński, Kronenberg, u czerwonych przede wszystkim Ignacy Chmieleński. Był to niewątpliwie najradykalniejszy z czerwonych i zarazem najmłodszy. Liczył niewiele ponad lat dwadzieścia. Przybył z Kijowa, gdzie studiów nie skończył, miał odegrać dość nieciekawą rolę w powstaniu i zniknąć później bez wieści. Chmieleński parł do rychłego zbrojnego powstania, a od paru miesięcy miał już w tym sojusznika. Był nim przybyły z Petersburga właśnie wtedy kiedy przebywał tam margrabia, Jarosław Dąbrowski. Dąbrowski należał do paru oficerów Polaków spiskujących w Petersburgu i połączonych niciami konspiracji z podobnymi akcjami w armii rosyjskiej, a nawet z tajną, potężną, legendarną i terrorystyczną późniejszej „Ziemli i woli”. Od stycznia będąc w Warszawie nawiązał kontakt z oficerami tutejszych załóg rosyjskich. Wespół z nimi opracowano plan opanowania Modlina, cytadeli warszawskiej i arsenałów. Wyznaczono nawet termin: 26 czerwca. Po tej dacie miała bowiem nastąpić translokacja pułków rosyjskich i wszystko byłoby stracone. Spisek zatem dojrzał właśnie wtedy kiedy Wielopolski odnosił swe zwycięstwo. Wybuchnąć jednak nie zdołał. Z jednej strony udaremniła go rosyjska policja która wyaresztowała oficerskich konspiratorów i oddała ich sądowi wojennemu. Z drugiej, wpływy białych przerażonych widmem powstania, wygrzyzły z Komitetu Centralnego Chmieleńskiego i najczwieńszych. Konspiracyjna organizacja czerwonych uległa rozbiuciu: straciła swoje masy. Miało to niezwłoczny rezultat, widoczny na ulicach Warszawy, a także dostrzegalny z zagranicy. Demonstracje bowiem albo ustały, albo osłabły.

Pomimo aresztowań, pomimo rozłamu, nie przestał jednak istnieć sam rdzeń rewolucyjnej konspiracji. Dąbrowski był aresztowany, ale

Chmieleński działał. Jak jednak mógł działać kiedy odeszły od niego masy? Jakże mógł działać kiedy pozostała przy nim dynamiczna, ale niewielka, grupa? W tych warunkach przejście od demonstracji do aktów terroru nasuwało się samo. Znienawidzonych ofiar także nie brakło. Przede wszystkim bowiem odbył się sąd nad aresztowanymi oficerami Rosjanami. Zostali oni skazani na śmierć i wyrok ten, zatwierdzony przez Lüdersa, został wykonany w końcu czerwca. Nazajutrz, strzał rewolwerowy w ogrodzie saskim, zranił ciężko Lüdersa. Pozbawił tym Wielopolskiego jego starego wroga, a przyspieszył przyjazd do Warszawy jego przyszłego partnera: wielkiego księcia.

Istotnie, witany przez polskich urzędników, rosyjskich generałów i warszawską ulicę zjawił się po kilku dniach „Konstanty numer dwa”. Aby jeszcze bardziej podkreślić nawrót do tradycji sprzed tamtego powstania wyznaczono mu na mieszkanie pusty przez wiele lat Belweder. Wielkiego księcia nie powitały owacje: parę okrzyków „niech żyje... król” nie zostało podjętych przez ciżbę w Alejach: ale wieczorem w teatrze miało być gorzej. Strzelił tu i zranił Konstantego młody warszawski zecer Jaroszyński i wielki książę powrócił do Belwederu z ręką na temblaku. Polacy nie lubią zamachów. Toteż nazajutrz salony Belwederu zapelnily się przedstawicielami całej Polski, — a przynajmniej tej Polski która zazwyczaj bywała wtedy w salonach. Postawny wielki książę był bohaterem dnia. Współczuła mu Warszawa, pisały o nim paryskie gazety, w dalekim ukochanym Pitrze popy pialy molebnie w cerkwiach, a damy piszczaly w salonach. Wicekról postanowił wykorzystać sytuację do zagrania roli politycznej. Wezwał Polaków do współpracy z nim „dla dobra kraju”, i złączył w jednym uścisku dłonie Pana Andrzeja i Wielopolskiego. Był to jego miodowy polski okres, a kiedy narodził mu się, już w Warszawie, syn, dano dziecku obce Romanowym imię Waclaw, co było podobno ukłonem w stronę Czechów, ale zostało zrozumiane przez Polaków jako gest w stronę Polski. Katedra świętego Jana zapelnila się tłumami wiernych w czasie nabożenstwa dziękczynnego za ocalenie wielkiego księcia. Tym razem nie śpiewano owych hymnów narodowych których Rosjanie tak się bali. Szala zdawała się przechylać.

Ale krew wielkiego księcia, jego słowa i gesty, nie wszędzie miały wywołać tak łagodzący efekt. U konspiratorów lewicowych nie odegrały żadnego. Rzemieślnicy warszawscy, sybiracy i mierasławszczyzy nie mieli tak miękkich serc. Terroryści Chmieleńskiego szukali sobie tylko dalszych i nowych ofiar. Margrabia nastęrczał się sam. Przemawiając po zamachu na Konstantego w Radzie Stanu powiedział przecież iż „nowe strzały, jeśliby jeszcze paść miały, w moje niech uderzą piersi” i życzenie to postanowiono spełnić. Nie czekano nawet z tym długo, bo zaledwie do sierpnia. Najpierw, rzemieślnik litograf Ryll strzelił do niego z rewolweru, kiedy margrabia wchodził do gmachu Komisji Skarbowej na placu Bankowym: w kilka dni później, na przejeżdżającego w Alejach rzucił się ze sztyletem zatrutym inny zamachowiec, Rzonca. W obu wypadkach starszy, ociężały pan okazał swą zwykłą zimną krew i impet. W jednym nawet sam rzucił się z laską na spiskowca i pomógł policji w ujęciu go. Polska miała dosyć tych nowych zamachów. Teraz nawet wokoło margrabiego nastala odwilż sympatyi. Z Petersburga poslowie angielski i francuski depeszowali z zapytaniami o zdrowie; w Warszawie konsulowie francuski i angielski pospieszylu do Bruhlowskiego Pałacu; a ton prasy zagranicznej wskazywał, że Zachód doradza Polsce drogę Wielopolskiego, a nie drogę zamachowców. Wtedy także, do margrabiego, przyszli jako nieformalna delegacja „białych” Kurtz, Węgleński i Kronenberg, ofiarując niebardzo sprecyzowaną współpracę. Ale Wielopolski miał im odpowiadzić, że współpracy tej nie potrzebuje. Epoka lubowała się w złotych

myślach. Upamiętniła też ówczesne — jakoby — zdanie Wielopolskiego: „Dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami — nigdy”.

Przeciwnicy Wielopolskiego widzą źródła jego ówczesnej kłeski właśnie w dwóch aktach. Jednym z nich jest to, że nie postarał się o ulaskawienie zamachowców, czy też, — jak głośno twierdziła prasa podziemna — właśnie uczynił wszystko by zawiśli na szubienicy. Widok tych szubienic rozwiął też niebawem owe mgły sympatyj jakie po zamachach urastały nawet wokoło margrabiego. Po dziś dzień jednak historia nie dała nam dowodów na to że Wielopolski istotnie interweniował o nieulaskawianie skazanych, a w Rosji nawet za samo przygotowywanie zamachu zapadała kara śmierci. Nie zapominajmy i o tym że wszyscy wrogowie Polski w Rosji i tak pomawiali Wielopolskiego o... wallenrodym i skryte sprzyjanie ruchowi podziemnemu: jak piękny mieliby argument gdyby teraz prosił o życie zamachowców. Nie. Właśnie jako mąż stanu Wielopolski nie mógł prosić o łaskę ani dla Jaroszyńskiego, ani dla Rylla, ani dla Rzoncy.

Drugim, współczesnym prawie, potknięciem się była owa odpowiedź udzielona przewodcom białych gdy przychodzili ze współpracą. „Dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami nigdy”. Ale przeciwnicy Wielopolskiego zapominają o tym, że o kilka tygodni wcześniej tych samych ludzi przyjął ten sam Wielopolski inaczej, choć pochodzili z „dyrekcji” białych, choć byli ongi filarami Towarzystwa Rolniczego jak Węgleński, choć należeli do najbliższych ludzi Pana Andrzeja. Więcej: Wielopolski wtedy wystarał się dla nich o nominacje do Rady Stanu, do której weszli właśnie z jego poręki. Wprowadzenie do Rady Stanu nie było na pewno „odmówieniem współpracy”. Dlaczego zatem, po tych kilku tygodniach, Wielopolski odmienił tonu? Odpowiedź jest tylko jedna. Bo tymczasem, już w Radzie Stanu, owi trzej działacze rozpoczęli dyskretną, nieciekawą, a za to bezgranicznie naiwną intrygę.

Było to w okresie kiedy większość reform Wielopolskiego wchodziła już w życie, i kiedy z wyjątkiem włościańskiej wywoływały one ogólne zadowolenie rozsądniejszych kół społeczeństwa. Czy to samorząd, czy równouprawienie, czy dalsze, energicznie prowadzone polszczenie urzędów, czy wreszcie najlepsza, szkolna, jednak chwytały. Opustoszały od tyłu lat Belweder ożył. Wielki książę z młodą małżonką prowadzili tam istotnie „dwór”, a jak wiemy, Polaków czasem okropnie zrażają zupełnie drobne, nieistotne rzeczy, tak samo jak pociągają jeszcze mniej istotne od tamtych gesty. Groza wybuchu zbrojnego i zamachów które dojrzały w tyglu zeszlorocznych demonstracji także robiła swoje. Przeto znaczna część „białych”, a zwłaszcza rozsądniejsi z nich, zaczęli patrzeć na sytuację nieco inaczej jak przed rokiem. Czy ich własny, namiętny opór przeciw „paktowaniu z Rosją” był istotnie tak bardzo mądry? Czy polityka Wielopolskiego była istotnie tak bardzo zbrodnicza? Czy, system inercji, tak entuzjastycznie przyjęty przez nich, był objawem politycznej mądrości? Jeśli Kurtz, Węgleński i Kronenberg, działacz ekonomiczny, ziemiański i wielki bankier, Rotszyld Królestwa, przyszli w czerwcu do współpracy i weszli do Rady Stanu, to był to widoczny objaw tego, iż „biali” zmieniali zdanie. Ale jeśli myślimy, że przekonawszy się do polityki Wielopolskiego poczęli Wielopolskiego popierać, to mylimy się bardzo. Zaczęli zwowu myśleć o tym jakby robić *politykę Wielopolskiego bez Wielopolskiego*. To jest prowadzić samym politykę porozumienia z Rosją którą półtora roku przedtem tak namiętnie zwalczała.

Intryga tych trzech ludzi docierała i do salonów Belwederu, ale przygotowywała grunt w całej Warszawie. Plotka, główny oręż polityczny w Polsce, nastawiła się na nią zupełnie. Pełno było teraz ludzi głoszących że nigdy nie byli przeciwnikami porozumienia z Rosją, ale przeciwnie,

to oni byli tego największymi, istotnymi, zwolennikami. Oni tylko uważali że Wielopolski nie dość dobrze tę partię rozegrał: oni — albo „inni ludzie” — rozegraliby to lepiej. Rosyjskie audycje tej intrygi miały inne nagranie. Dowodziły, że porozumieniu polsko-rosyjskiemu szkodzi najbardziej właśnie . . . inicjator tego porozumienia. Wielopolski jest niepopularny, nielubiany; gdyby na jego miejsce przyszedł ktoś inny. . . Czasem plotka rzucała już nawet nazwisko: Węgleński, wysunięte w dużej mierze dlatego że Pan Andrzej, jak polski hrabia Chambord, nie tylko nie chciał rządu dla innych, ale nie chciał go i dla siebie. W końcu lata, propaganda zrobiła swoje, nie tylko wśród Polaków, ale także i w białym Belwederze. Czemu miałoby to nas dziwić? Jest to przeciwnie zupełnie zrozumiałe. Wielki książe Konstanty bał się, że zasłaniać go będzie przed światem zbyt potężna indywidualność jego polskiego „premiera”: bał się, że niepopularność Wielopolskiego istotnie obciąża polsko-rosyjskie porozumienie; a rosyjscy doradcy wielkiego księcia także woleliby starszą indywidualność na stanowisku naczelnika rządu cywilnego. Nie było co się dziwić Rosjanom, że miłym im był pan Węgleński. Rzecz jasna, gdyby wielki książe był indywidualnością toby wiedział o jednym: wielkie dzieła polityczne wymagają dla dokonania ich nie popularnych miernot, ale niepopularnych ludzi. Ale Konstanty był wielkim tylko jako książe, nie jako mózg. A pan Węgleński? Pan Węgleński był niestety wielkim tylko tym czym nieraz polscy polityczni gracze umieją być wielkimi. Bezmierną ambicją. Tuzinkowy działacz ziemiański zgubił nią sam siebie. Bez tej ambicji poparłby Wielopolskiego, poddał się jego batucie, wszedł do jego sztabu i u boku większego od siebie człowieka odegrałby trwałą, płodną, acz drugorzędną rolę. Niestety, poniosły go zarazem zazdrość i ambicja. Dzięki nim nie odegrał żadnej roli.

Jeśli znamy dzieje intrygi Węgleńskiego to rozumiemy dlaczego Wielopolski który już raz spróbował z nim współpracować, teraz ją mógł odrzucić. Intryganci niech sobie samym przypisują swoje późniejsze klęski. A intryga Węgleńskiego była dopiero w zarodku. Niebawem, w początkach września rozpoczął się w Warszawie zjazd przedstawicieli „białych” z całego Królestwa, a nawet z Kresów. Zjazd miał przygotować grunt Węgleńskiemu i towarzyszom w ich skręcie na porozumienie z Rosją. Ale zjazd był ryzykownym krokiem białych a skręt za ostry aby mógł się udać. Albowiem jeśli Węgleńscy u góry zmodyfikowali nieco swe poglądy, to nie oznaczało to jeszcze by ów proces dotarł do dołów. Reformy się podobały, owszem wolano wielkiego księcia odLüdersa, owszem szkoły, owszem Rada Stanu. Ale opinia maluczkich ziemian, głos prowincji, uważały dalej paktowanie z Rosją za zdradę. Zbyt długo ją tego uczyli właśnie wodzowie białych. Na wiadomość o zjeździe odezwali się osłabieni, ale rzutcy „czerwoni” i zaatakowali zjazd jako „Nową Targowicę”. Dlaczego nie mieli tego robić? Przecież niespełna rok temu to co robił Wielopolski, to jest porozumienie z Rosją, „biali” razem z nimi nazwali zgodnie zdradą? Czy to nie oni mówili wtedy o „misce soczewicy reform” za jaką margrabia „sprzedaje” Rosji Kresy? Cóż się zmieniło w ciągu tych kilkunastu miesięcy? Czy tylko to, że Rosja okazała się silniejsza niż przypuszczano, że poradziła sobie jakoś z ludowym wrzeniem, a Zachód wcale nie kwapił się do wojny o Polskę? Czerwoni byli logiczni. Dla nich było obojętnym czy porozumienie z Rosją zawiera margrabia Wielopolski, czy też pan Węgleński, i pan Węgleński nie mógł nikogo przekonać — poza najbliższymi przyjaciółmi — że to właśnie jest najważniejsze. Gdyby pan Węgleński stał na czele małej, zwartej mafii, pewno by wymanewrował i ten zwrot polityczny: ale tak nie było. Do Warszawy zjechało się paruset niezależnych ludzi, może naiwnych i parafiańskich, ale prosto patrzących.

Trudno im było po tylu krzykach przyjąć politykę Wielopolskiego pod zmienionym szyldem.

Bieg wypadków został tymczasem przyspieszony innym wydarzeniem. Oto na przededniu już mającego odbyć się zjazdu wielki książę zaprosił do siebie Pana Andrzeja na zasadniczą, jakbyśmy dziś rzekli, rozmowę. Akcja Węgleńskiego odniosła skutek: wielki książę doszedł widać do wniosku, że margrabia jest naprawdę tak znienawidzony że jest dla Rosji tylko politycznym ciężarem: nie dostrzegł, że jeśli jest znienawidzony, to właśnie za Rosję. Wiedział, że najpopularniejszym człowiekiem w Polsce jest Andrzej Zamoyski, a słyszał teraz że możliwa byłaby z nim ugoda. I zamiast rozmawiać z Węgleńskim, wołał popróbować z samym Zamoyskim.

W białych pokoikach Belwederu, bardzo empire'owych i bardzo polskich, rozegrała się owego dnia 2 września dosyć historyczna scena. Wielki książę zapytał czego Polacy chcą: Pan Andrzej odpowiadał. Odpowiadał długo, zawile i rozwlekle, przypominał przeszłość i zatracił o przyszłość, a z tej rozmowy pozostało nam kilka, dosyć pokrywających się wersyj. Wedle najpopularniejszej, puszczonej potem w obieg, wielki książę miał zapytać się przedstawiciela Polski: „czego od nas chcecie?” a przedstawiciel Polski odpowiedział wtedy przedstawicielowi zaborczej dynastii: „żebyście się wynieśli”. Byłaby to bodaj ostatnia złota myśl Pana Andrzeja. Wedle bardziej autentycznej wersji Pan Andrzej, jako konkretne zalecenie, wykrzusił tylko żądania „połączenia *wszystkich* ziem dawnej Polski pod twoim, mości książę, kierownictwem”. Czy Pan Andrzej wyszedł uspokojony, że wywarł dobre wrażenie? Czy wyszedł przekonany, że powiedział to co myśli kraj? Być może. Pewno wyszedł także w przeświadczeniu, że nie wziął na siebie żadnego ciężaru decyzji i nie zaważył w niczem na losach Polski. Za to wielki książę skończył rozmowę wściekły. Wiedział że Rosja silna, potężna i wielka nigdy nie odda Polsce granic 1772 roku, sięgających poza Berezynę i po Dniepr. Niezwłocznie pisał też do cara o Zamoyskim: „c'est un fou, c'est un fou furieux. Przyszedłem do przekonania, że nic się zrobić nie da”. Owego wieczoru pokonanym był Węgleński, zwycięzcą za to był margrabia. Teraz bowiem wielki książę zrozumiał, że w tym kraju jest tylko jeden człowiek który idzie na kompromis z Rosją. Jeżeli nie z nim, to z nikim.

Tymczasem zaś rozpoczął się ów zjazd ziemiański, przerażony tym właśnie, że powitano go na wstępie nazwą „nowej Targowicy”. Toteż głównym zadaniem zjazdu stało się by ta nazwa nie przyłgnęła do nich na dobre. Szukali do tego okazji. Z drugiej strony Pan Andrzej miał wątpliwości. Czy aby dość jasno wypowiedział w Belwederze swoje zdanie? Czy wielki książę wie dosyć, że nie jest to tylko jego, Pana Andrzeja, pogląd? Z tych wątpliwości wyznaczonych przyjaciółom zrodził się „mandat” uchwalony przez „współziomków” a uznający za rzecznika polskiej opinii Pana Andrzeja. Był to jeszcze jeden elaborat owej polskiej kuchni politycznej która nie chce urazić nikogo, toteż wreszcie uraża wszystkich. „Mandat” we frazeologię bardzo czerwoną (która musiała podrażnić Belweder) objął treść bardzo białą politycznie (która musiała rozjuszyć czerwonych), ale przy tym raz jeszcze jeden podnosił, jak Zamoyski, sprawę Kresów. Poprzez dyskretne słowa przezieiała ta sama treść. Polska w granicach 1772 roku.

Zjazd i „mandat” rozkrzyczane za granicą wywołały wściekłość Petersburga. Teraz Zamoyski z kolei został wezwany „przed oblicze cesarskie” ale po to tylko, aby otrzymać rozkaz wyjazdu za granicę i nie pojawiania się w kraju. Pan Andrzej znikł z widowni. Zapewne znikł nawet z lekkim sumieniem. Nie, nie zrzekł się moralnego prawa Polski do Berdyczowa i Witebska, i kiedyś, po latach, kiedy szczęśliwsze wiatry powieją, kiedy niepodległa Polska powstanie i granice wytyczać się będą,

prawo polskie do tych ziem dalekich pozostanie nienaruszone jak przed wiekiem. Nie, nikt nie powie w kraju, że „arystokracja zdradza”. Błąd Pan Andrzeja był bowiem arystokratą. Należał do tego pokolenia wielkiej szlachty polskiej które rumieniło się za tych kilka pokoleń co roztrwoniły Polskę. W uszach brzmiał mu podziemny śpiew nienawiści „o cześć wam panowie magnaci” i pieśń ta mówiła o zdradzie jakiej dopuścili się ludzie wielkich nazwisk na własnym narodzie. Nade wszystko bał się tego słowa. Natomiast nie przewidywał że nikt nie będzie mógł powiedzieć o nim i jemu bliskich jak o współczesnej im szlachcie węgierskiej czy fińskiej że spełnili w tej epoce pewną historycznie potrzebną rolę. Właśnie w Petersburgu pracowali bowiem przedstawiciele Finlandii nad uzyskaniem dla swego kraju, złączonego z Rosją, tego samego co chciał Wielopolski. Niebawem, wielki Węgier, hr. Schechenyi, miał uzyskać dla Węgier jeszcze więcej od osłabionych Habsburgów. I fińscy i węgierscy działacze wzięli na siebie odium niepopularności, wzięli ciężar decyzji, przeprowadzili politykę niepopularną, trudną ale płodną. Ich nazwiskami po dziś dzień nazywane są ulice Pesztu i Helsinek, ich pomniki stoją na placach publicznych, a czas oplukał ten spiz z lepkiego błota nienawiści współczesnych. Szukając porozumienia żaden z tych narodów nie stracił też godności, — ani żaden narodowego istnienia.

Nastawała jesień. Jesień jest w Polsce porą zasiewów „ozimych” to jest takich które wschodzą późno, i które trzeba siać wcześniej, aby ich nie zmroziły przymrozki. Jesień jest w Polsce porą kiedy niebo się chmurzy i chmury są ciężkie i czarne a zniżają się nisko nad ziemię. Z zasiewów plon będzie dopiero za rok, a z chmur mogą być deszcze jeszcze tego samego ranka. Chmury nadciągały. Wielopolski siał.

Wielopolski istotnie siał. Szkoły były otwarte, zorganizowane, uniwersytet w postaci szkoły głównej otwierano poszczególnymi wydziałami. W miejsce dwóch najgorszych gubernatorów rosyjskich przyszli dwaj Polacy, w centralnych urzędach Warszawy urzędników Rosjan pozostało jedynie siedmiu. Najgorzej szła najłabsza z reform Wielopolskiego, mianowicie chłopska. Ziemianie byli niezadowoleni dlatego, że zniesienie pańszczyzny odejmowało im bezpłatną siłę roboczą: chłopci czekali na to, że otrzymają na własność ziemię na której siedzą. Jakież był los chłopów w Królestwie? Za Napoleona otrzymali wolność osobistą: Wielopolski przyniósł zniesienie pańszczyzny: ale ziemia dalej pozostawała w ręku dziedzica. A ziemia była najważniejsza. Po wsiach krążyli agitatorzy podziemni mówiąc o powstaniu i rządzie narodowym który da chłopom ziemię; od Rosjan szły słuchy, że ziemię da car przeciwko któremu panowie się buntują. Chłop nie wiedział, ale się burzył. Niepokoje, które ustały w stolicy, nurtowały w umysłach prowincji. Podniecała je prasa. Legalna, nie omijała żadnej okazji aby zwalczać Wielopolskiego, a najwięcej celowało w tym pismo Kronenberga, a więc tego co z Węglańskim już się gotował na jego miejsce. Nielegalna była oczywiście jeszcze ostrzejsza. „Ten człowiek na którego sumieniu i ciele plamy krwi bratniej są wyrażone” grzmiała „Strażnica”. I wzywała jednocześnie do boju który musiał tej krwi bratniej przelać daremnie i beznadziejnie nieskończenie więcej.

Kiedy po latach brnie się przez to lepkie błoto jakie jednak utrwała historia ma się wrazenie błahych, śmiesznych i czczych zarzuciań, na jakie umiano się zdobyć. Zarzut, że Wielopolski nie chciał współpracy z Polakami, jest niedorzecznością jeśli zważymy że i w sprawach szkolnych i w rolnych i w żydowskich i w samorządowych ścierał najwybitniejszych fachowców aż z innych dzielnic Polski. (Tych o których on pamiętał Poznańskiego, Pomorza, Galicji.) Zarzut, że zamachowiec Ryll był jego nieślubnym, sponiewieranym synem, był zwykłym oszczerstwem, jednym z tych na które i dzisiaj natrafimy łatwo. Uparta plotka szła krok w krok.

Aby umeblować Pałac Bruhlowski wyjęto ze zbiorów państwowych odlewy gipsowe posągów greckich: Warszawa krzyczy: „co za nadużycie”! Oddzielono parkanem część ogrodu saskiego aby stary, tyjący chorobliwie naczelnik rządu cywilnego mógł zażywać przechadzki: co za samowola! Ochrona Czerkiesów wokół jego rezydencji, — (po dwóch zamachach) — co za policzek wymierzony narodowi! I z poza tych wszystkich malizn, tak małych jak ludzie co je puszczali w obieg, tak małych jak opinia która je przyjmowała, nikło dzieło reformy szkolnej, samorządowej, administracyjnej, włościańskiej. Więc niepotrzebne są reformy? pytali stronnicy margrabiego. Owszem, odpowiadano, ale niech je przeprowadzą . . . sami Moskale. Polak niech z nimi nie wiąże swego nazwiska. Mędracy co tak rozumowali mieli się za niespełna rok przekonać jak to jest kiedy Polskę reformują „sami Moskale“.

W tej walce, a dokładnie z tak dziwną tezą, występowało coraz częściej pismo które zdawałoby się powinno popierać w pełni program Wielopolskiego. Był nim założony w okresie wiosny ludów krakowski „Czas”. „Czas” narodził się, jak rzeka z potoków górskich z owej kilkunastoletniej przyjaźni politycznej nawiązanej pomiędzy realistą Wielopolskim, ultrakatolikiem Popielem i naukowcem Helclem, gdzieś zaraz po roku 1830. W swym pięknym artykule wstępnym pierwszego numeru pisanym w dniu w którym skołał na rękach Felińskiego przeżarty gruźlicą i poezją Juliusz Słowacki „Czas” kończył zdaniem że wszystkie jego „wysiłki troski i starania będą zmierzały ku jednej tylko rzeczy: odzyskania wolnej i niepodległej ojczyzny.“ Ale tak jak cały obóz prawicowy i umiarkowany, a inaczej niż rewolucyjny i młodzieńczy, „Czas” nie wierzył, by Polska mogła powstać w wyniku jakiegoś wybuchu. Upatrywał jej wskrzeszenia w drodze powolnej ewolucji od czarnej nocy niewoli do białawych i zimnych brzasków świtu. W odróżnieniu od tysięcy Panów Andrzejów „Czas” nie czekał też aż to się samo dokona. W pokoikach redakcyjnych „Czasu” krążyła już wcześniej myśl szukania w Austrii oparcia przeciw Rosji, podważenia od tej strony drzwi więziennych Polski. Tradycjonalizm Austrii, jej zachodniość, jej katolicyzm, jej szlacheckość, to wszystko skłaniało ludzi „Czasu” do zwracania oczu w tym kierunku. Dlaczego jednak oni właśnie wystąpili szczególnie namiętnie przeciwko dawnemu przyjacielowi — Wielopolskiemu? Wszak i on był zwolennikiem prób współpracy z któryś z zaborców, jak oni nimi byli: wszak był katolikiem, konserwatystą, zachodniowcem, jak tamci. I jak tamci wiedział, że pomoc Zachodu może Polsce sytuację *ulatwić*, ale sama jedna jej *nie rozwiąże*. Na to wszystko jest wiele wyjaśnień. Pierwszym, że Wielopolski był konsekwentniejszy. Wielopolski musiał widzieć, że Austria jest słaba, że „oparcie się” na niej nie da Polakom mocy do przeprowadzenia reszty ich programu. Wielopolski nie mógł widzieć w Austrii potęgi która by poszła przeciw Rosji i Prusom: tymczasem w Rosji widział siłę która już jest nastawiona ofensywnie przeciwko Austrii, a zbliżając się powoli do Francji nastawia się ofensywnie i przeciw Prusom. Wielopolskiego szlachezca, katolika, tradycjonalistę znacznie bardziej ciągnęła habsburska Austria, ciągnęły własne tradycje rodzinne Wielopolskich i Myszkowskich którzy byli w Polsce poplecznikami Wiednia, niż daleka i obca mu Rosja. Ale przechodził nad tymi względami serca czy sympatii. Nie dziwimy się dzisiaj „Czasowi”, że za Wielopolskim nie poszedł: natomiast intryguje nas to że on właśnie tak namiętnie go zwalczał. Czyżby grały tu racje dotąd przez historyków niewyśledzone? Czy nie działała tu sprytna intryga wiedeńska? Pamiętajmy, że w Petersburgu najzjadlejszym wrogiem Wielopolskiego był austriacki ambasador Thun: że Austria pamiętała margrabiemu list do Metternicha: że omal nie zwróciła się do Rosji z vetem przeciw jego nominacji. Twierdzić niczego nie można, ale snuć domysły

trzeba. Tak samo jak uderza nas to że właśnie wtedy i właśnie w Poznaniu wychodzi cała literatura pamfletów przeciwko Wielopolskiemu, choć sympatyzują z nim na przykład Pomorzanie i budzący się ruch kaszubski. Oto zadania które może zajmą przyszłego historyka polskiego, ale odpowiedzi na nie nie znajdziemy w pamiętnikach Popiela czy papierach „Czasu”. Trzeba by zajrzeć do sekretnych archiwów zaborczych.

## V.

### OSTATNIA WALKA

Tymczasem wraz z zimą i końcem roku nadchodził akt ostatni.

Owym aktem ostatnim, była, jak historia nam mówi, tak zwana branka. Czymżeż była owa „branka”? Od wojny krymskiej to jest już od dobrych sześciu lat w Królestwie Polskim nie dokonano poboru rekruta. Rekrut był wybierany w drodze losowania—zamożni mogli się wykupić—a służył jako zawodowy żołnierz przez całe dziesiątki lat. W naszym wypadku chodziło o piętnaście. Nieraz przy pomocy różnych sposobów zarówno władze jak dziedzice starali się o to aby do wojska brano możliwie niesforne elementy wiejskie i historia Deczyńskiego z „Kordiana i chama” jest klasycznym przykładem takiej branki za dobrych wolnych czasów pomiędzy rokiem 1815 a 1830. Spomiędzy 72.000 poborowych mianoby teraz wylosować 12.000 i tych dwanaście tysięcy poszłoby na służbę do dalekich garnizonów Rosji. Otóż dla szerszej publiczności niemal niespodzianie ogłoszony został pobór rekruta w pismach urzędowych z 6 października 1862 roku, a objaśnienia do zarządzenia mogły wywołać wiele komentarzy. Mówiły one bowiem o wprowadzeniu list imiennych przez komisje wyłonione z rad samorządowych—już polskich, i tak dalej. Od poboru wyłączano wszystkie elementy osiadłe trwale, a więc na przykład i chłopów gospodarzy, natomiast obejmowano nim całe kategorie socjalnie i gospodarczo luźne, zarówno w mieście, jak na wsi. Niebawem znano i treść tajnego okólnika—władze polskie, jak widzimy, już i wtedy nie bardzo umiały utrzymać tajności swego urzędowania—a w jego świetle wszystko było przezryste. Jeśli czerwcowe rozbitcie „czerwonych” odjęło im masy tak potrzebne dla demonstracyj ulicznych, to teraz branka miała dokończyć dzieła. Z kolei miały ulec przetrzebieniu kadry terrorystów. Uległyby one w dwojaki sposób. Po pierwsze były wszystkie powody do przypuszczenia, że najbardziej zagrożeni konspiratorzy zbiegną zawczasu za granicę. Wszak tak zrobił między innymi jeszcze latem sam Chmieleński po uprzednim wysłaniu na zamach (i śmierć) Jaroszyńskiego, Rylla i Rzoncę. Po drugie, rzesza konspiracyjnych szaraków, takich właśnie jak ci trzej nieszczęśni którzy zawiśli niedawno na szubienicach, byłaby przerzedzona samym poborem. Dwanaście tysięcy młodych ludzi odeszłoby do armii. Krok był oczywiście policyjnym cięciem. Ale policyjne cięcie nie przybierało ani zbyt katastrofalnych, ani zbyt dotkliwych rozmiarów. Dziś jedna „łapanka” na ulicach Warszawy czy Lublina jest dla kraju znacznie dotkliwsza. Wówczas owych dwanaście tysięcy nie stanowiło więcej niż około trzech na tysiąc mieszkańców.

Jest rzeczą niezwykle znamienne, że niechętnymi brance były wojskowe czynniki rosyjskie. Szczegóły te były nieraz wytykane Wielopolskiemu jako dowód, że był on bardziej rosyjskim niż sami Rosjanie i że jemu, Polakowi, bardziej zależało na braniu innych Polaków do rosyjskiego wojska, niż Gerstenzweigom, Bergom czy Milutinym. Trzeba być jednak



mniej podejrzliwym w stosunku do pana z Chrobrza, no i mniej łatwowiernym jeśli chodzi o jegomościów, co się później obłowili krociowo przy usmiraniu polskawo miatieża. Rzecz była jasna, dlaczego Wielopolski chciał opróżnić kraj z najczerniejszych, najradykałniejszych żywiołów bojowych. Oto bał się wybuchu. Rzecz jest również jasna, dlaczego rosyjskie generały tak dziwnie nie po generalsku nie chciały polskiego rekruta. Oni wybuchu chcieli. W ślad za przybyciem wielkiego księcia, w ślad za zamachami rewolwerowymi na Lüdersa, Konstantego, Wielopolskiego, Warszawa zapełniała się nowymi pułkami rosyjskimi, ściąganiem stopniowo z głębi matuszki Rassii. Terrorystyczna polityka Chmieleńskiego, rozpaczliwe zamachy Jaroszyńskich, Rzonców czy Ryllów, nie tylko że nie usuwały Czerkiesów, Kałmyków i Kozaków, ale jeszcze pomnożyły ich liczbę. Dzięki nim właśnie było uzasadnienie, dlaczego załogi rosyjskie muszą ulec wzmocnieniu. Generalicja rosyjska wiedziała dobrze, że obecność setek Rzonców i Ryllów jest jej na rękę, że uzasadnia nad Wisłą rolę armii rosyjskiej, że im więcej ich będzie tym szybciej dojdzie do takiego czy innego wybuchu, a wtedy już będzie łatwo.... (Trzeba być bardzo naiwnym, aby myśleć że przez Wielopolskiego przemawiała ugodowa gorliwość, znacznie większa niż gorliwość „rodowitych” Rosjan o niemieckich nazwiskach. Obie strony—i Wielopolski i generałowie rosyjscy wiedzieli dobrze o co im chodzi i o co chodzi przeciwnikowi. Pomiedzy jednymi i drugimi wywiązał się bój. Ale zrazu po stronie Wielopolskiego stała jeszcze władza rosyjska. Dla niej było obojętne i nieważne czy się kilkunastu generałów i kilkuset oficerów nagrabi w Płockim, Siedleckim czy Łomżyńskim. Dla rosyjskiej racji stanu było ważnym, aby polski wybuch nie doszedł w ogóle do skutku, nie zadrażnił sytuacji zagranicznej Rosji, nie był jej kulą u nogi. Interesy rosyjskiej racji stanu nie dały się jeszcze ułóżkami z interesami kliki czy kasty. Projekt branki więc przeszedł. Nadeszła o nią inna walka.

Ta dalsza walka rozegrała się w samym społeczeństwie. Społeczeństwo to byli ci ludzie co zasiadali już w samorządach, jakie przyniósł Wielopolski co mieli teraz wybrać komisje poborowe, przeprowadzać spisy poborowych. Przecież Królestwo miało już polską administrację: ona powinna działać. W tym wypadku współdziałać. Ale czy będzie? Okazało się że nie. Niektóre samorządy powiatowe czy miejskie wręcz odmówiły współdziałania: inne, a w tym większość, rozpoczęły sabotaż spisów we wszelki możliwy sposób. Przemycany z Krakowa do Królestwa „Czas” piętnował „nową zbrodnię rosyjską” w taki sposób jakby w Austrii na przykład nie obowiązywał pobór rekruta i jakby Galicja nie dostarczała Habsburgom podobnego kontyngentu żołnierza jakie Królestwo — nie po raz pierwszy przecież, — dostarczało Petersburgowi. Wściekłość koncentrowała się oczywiście na Wielopolskim. On był przecież autorem branki.

Same doły czerwonych ogarnął za to niepokój. Oto od kilkunastu co najmniej miesięcy każdy z nich był wciągnięty w nader tajemnicze przysiężenie, składał przysięgi, schodził się na nocne zebrania, znał zaledwie swego bezpośredniego kierownika trójki, piątki czy dziesiątki, — ale zapowiadane od tak dawna powstanie narodowe jakoś odwlekało się z miesiąca na miesiąc. Ludzie ci nie chcieli czekać. Teraz zaś już i długo czekać nie mogli. Jesliby czekali dłużej, to margrabiowska branka wyłuska ich z Warszawy, Radomia, Lublina i rzuci w rosyjskim mundurze gdzieś do Petersburga, Moskwy czy na Kaukaz. Poczęło rósć zniechęcenie. Gdzież to powstanie? Co robi otoczony nimbem konspiracji Komitet Centralny? Teraz poczęli działać owi czerwieńsi jeszcze, których w czerwcu wymanewrowano z Komitetu, a którzy poddali się coraz bardziej dalekim wpływom Mierosławskiego. Z ich inicjatywy ukazała się ulotka-odezwa która samozwańczo powoływała się na Komitet Centralny

Ten nie odciął się od niej, raz aby nie odkrywać wobec obcych faktu istnienia tarć i rozłamów w Komitecie Centralnym, po wtóre aby nie powiększać wrażeń że obecny Komitet Centralny cofa się czy ociąga. Toteż masy przyjęły za dobrą monetę zapowiedź ulotki że „Komitet Centralny ochroni sprzysiężonych przed branką”, i że „dzień ogłoszenia branki będzie dniem wybuchu powstania”. Pierwsze obwieszczenie było czysto demagogiczne. Komitet Centralny czy ktokolwiek inny nie mógł obiecywać, że „dopuszczy” czy „nie dopuści” do branki, bo leżało to — niestety — całkowicie poza jego możliwościami. W bardziej zrównoważonym społeczeństwie wziętoby takie słowa za demagogię, ale w polskim ówczesnym tłumaczono sobie że „widocznie” Komitet ma pewne dane aby tak właśnie twierdzić. Drugie zdanie było może jeszcze niebezpieczniejsze. Czy zamierzano nastraszyć nim Wielopolskiego? Czy zapowiedź, że „dzień ogłoszenia branki będzie dniem wybuchu powstania” miała oznaczać „nie rób pan branki, bo jeśli ją zrobisz, to wtedy powstanie wybuchnie”? Trudno dziś oświadczyć na pewno. To pewna, że i wtedy i potem z różnych kół szły nalegania aby brankę odroczyć czy odwołać. To także pewne że tysiące młodych ludzi zrozumiało, że datę nowego, nieodwołalnego już, wybuchu, wyznaczy data branki.

Tymczasem z początkim grudnia odbyły się prawie współcześnie dwa konspiracyjne zjazdy w Warszawie. Jeden był czerwonych. Po raz pierwszy ten ich zjazd nabrał wojskowego charakteru. Brali w nim bowiem udział ludzie jak pułk. Zygmunt Miłkowski, słynny później T. T. Jeź, niemal stuletni konspirator, który walczył w 1848 roku na Węgrzech, i Różycki, syn powstańczego generała z 1831, i Langiewicz, oficer pruski, i Sierakowski, rosyjski, i Padlewski — wszystko wodzowie których nazwiska za niespełna rok miały stać się głośne orężnie. Był to zjazd starszyzny powstańczej. I otóż starszyzna powstańcza uznała wprawdzie powstanie za konieczne, ale żądała odroczenia wybuchu do wiosny. Jednocześnie zjazd białych był pełen narodowego optymizmu: powstania — wiedzieli, że może stać się ono tylko klęską — nie będzie. I tylko dwaj uczestnicy zjazdów: Padlewski u czerwonych, Stefan Bobrowski u białych, dowodzili inaczej. Jakżeż ma wybuchnąć powstanie wiosną, rozumował Padlewski, jeśli na przedwiośniu kraj będzie ogołoconym z najgorętszych żywiołów? Padlewski był w owej chwili naczelnikiem wojskowym miasta z ramienia konspiracji. Bobrowski, „biały”, był młody. Obaj doskonale czuli że masy, tak długo rozgrzewane, rozgrzały się na płynną lawę rewolucji, której zatrzymać już nie będzie można, która się potoczy.

Wodzowie powstańczy mieli najzupełniej rację jeśli chcieli wstrzymać powstanie. Wiedzieli już bowiem dobrze, o czym nie wiedziały masy że nie wszystko jest tak piękne jak to co z dawna obiecywali. Właśnie we Francji policja nakryła agentury zakupu broni, założone świeżo przez czerwonych. Nie tylko poaresztowała ludzi, nie tylko powstanie znalazło się bez arsenału, ale nastąpiła rzecz gorsza. Oto władze francuskie wydały znalezione papiery w ręce ambasady rosyjskiej. Władze francuskie to były władze Napoleona III. Memento było groźne. A więc tak wygląda w praktyce owa tyle zapowiadana, tak plotkami podsycana w kraju, wiara w pomoc Francji? Cóż innego zrobiłaby policja Ludwika Filipa? Czy nie mają racji ci co twierdzą, że nie można liczyć na słówka sympatii i lezki współczucia, że Francja na wojnę o Polskę nie pójdzie, choć mogła pójść na wojnę o Włochy niepodległe? W tym samym niemal czasie policja warszawska wpadła na trop drukarni podziemnego organu czerwonych, „Ruchu”, dokonała aresztowań i zniszczyła pismo. Była to poważna strata. „Ruch” kierował opinią skrajną, urabiał ją, miał jej zaufanie. Gdyby istniał dłużej mógł być może narzędziem nowych poglądów które począły nurtować nie tylko w Komitecie Centralnym.

Albowiem i schyłek 1862 roku i pierwsze dni następnego przyniosły próby niespodziewanego zwrotu. To nie tylko Aleksander Herzen ostrzegał spiskowców rosyjskich przed wiązaniem się z polskim powstaniem które będzie w tych warunkach tylko aktem szaleństwa. To nie tylko „Czas”, dotąd grzmiący na brankę, zaczynał nagle pisać inaczej. Radził poborowym kryć się za granicę, a nawet, po raz pierwszy dopuszczać począł możliwość dania się brać w soldaty, „gdzie także, jak wszędzie można dla Ojczyzny pracować a sławę imienia polskiego roznosić”. Nie tylko „Czas” wpadł na tak niespodziane odkrycie. Czerwoni pisali przeciw kubek w kubek to samo. „Jeżeli Moskwa, wywodzili teraz, zdoła wziąć kilkaset lub parę tysięcy dzielnej młodzi, to wprowadzi w szeregi armii tyłuż apostołów wolności”. W ten sposób nalazszy najpierw sporo oliwy na ogień, gdy zaczęły buchać płomienie chwycono za kubły z wodą. Atmosfera była zanadto rozogniona aby ktoś się kwapił do roli apostoła wolności w szynelu żołdackim.

Tymczasem przybył jeszcze jeden, niespodziany sukurs przeciw brance, a wyszedł on z kół które w Rosji popierały Wielopolskiego. Obok pewnych czynników dworskich, obok ludzi jak Błudow, którzy mieli na oku wyższy interes państwa rosyjskiego, byli nimi, jakeśmy już wspomnieli, liczni dyplomaci rosyjscy. Rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych, przynajmniej w swej części, było zwolennikiem porozumienia z Polską. Ambasadorzy i posłowie rosyjcy w stolicach Zachodu cierpieli nad tym że rządy nahajem nad Wisłą wyrządzały tyle złej krwi Rosji. Specjalnie zaś dyplomaci rosyjscy pracujący nad zbliżeniem rosyjsko-francuskim obawiali się tego jak ognia. Jednym z nich był poseł w Brukseli hrabia Orłow. Wnuk kochanka Katarzyny, pamiętał dzieckiem jak w pałacu jego ojca przebywał przez pewien czas swego więzienia Tadeusz Kościuszko. Jako stary arystokrata miał raczej współczucie dla grabionej po każdym powstaniu polskiej szlachty, jako kulturalny Rosjanin miał wstręt do kacapskich metod generalskiej dziczy, a jako Rosjanin w ogóle nie nosił zbyt w sercu tych wszystkich Gerstenzweigów, Bergów, Lüdersów, Immermanów. Teraz hrabia Orłow był jednym z najczynniejszych twórców zbliżenia rosyjsko-francuskiego. Wyglądał starannie stare zadrażnienia z wojny krymskiej, niwelował wzajemne uprzedzenia, starał się o to aby ponad głowami dwóch niemieckich stolic podały sobie ręce Rosja i Francja. Hrabia Orłow się bał, że branka doprowadzi istotnie do wybuchu, a wybuch podetnie próby porozumienia francusko-rosyjskiego. W tej myśli z Brukseli przybył zaraz do Warszawy.

Zebranie grudniowe z Wielopolskim i Orłowem u wielkiego księcia było niewątpliwie tym momentem kiedy ważyły się losy branki. W każdym razie jeśli kiedy, to wtedy, były one najbardziej zagrożone. Wielopolski wiedział, że Orłow, w odróżnieniu od tyłu, tyłu innych, jest poważnym partnerem. Orłow wiedział to samo o Wielopolskim. I on nie miał głupich podejrzeń że Wielopolski jest „polskim Wallenrodem” który pcha Rosję w kłeskę przy pomocy podstępu. Wielopolski wiedział, że Orłow miał rację w tym przynajmniej, że jeśli branka doprowadzi do wybuchu, to wybuch pęknie jak petarda u stóp porozumienia Paryża z Petersburgiem. Wielopolski niemniej jak Orłow chciał tego porozumienia. Czy przewidywał, że doprowadzi ono do wojny z państwami centralnymi? Czy przewidywał, że z tych wojen wyjdzie Austria rozbita, a Prusy okrojone o ich polskie dzielnice? Jest to bardzo logiczna hipoteza. Inne, szczęśliwsze, przymierze rosyjsko-francuskie doprowadziło do tego w kilkadziesiąt lat później: czy obecne nie mogło doprowadzić do tego wcześniej? Ale Wielopolski wiedział i to także, że czerwoni zbyt długo pracowali nad wybuchem powstania aby je mogli wiecznie odraczać. Wiedział może, że planowany jest wybuch na wiosnę. Wiedział także, że ruch

czerwonych w kraju paraliżuje dalsze wprowadzenie reform. Przypuszczał, że branka będzie najlepszą bronią aby „wrzód rewolucyjny przeciąć”.

Termin branki był spodziewany od pierwszych dni stycznia, toteż koło 10-tego okolice Warszawy zapełniły się młodymi ludźmi którzy wyszli z miasta aby uniknąć poboru. Puszcza Kampinoska zarośła się nimi na szereg dni przed ową nocą z 12 na 13 stycznia kiedy policja i wojsko dokonały, jak zwyczajnie, poboru. Nazajutrz wokoło cytadeli zebrały się tłumy, które żywo komentowały wypadki, złorzecząc głośno i wyzywając, ale tym razem nie margrabiemu, nie Rosjanom, ale Komitetowi Centralnemu. Czy można się temu dziwić? Raczej można by się dziwić gdyby było inaczej. Od przeszło roku Komitet Centralny, tajemnicza władza, nawoływał ich do powstania i wieścił ów dzień. Od przeszło roku zorganizował ich, kazał czekać, używał do demonstracji, przygotowywał do zamachów. Od przeszło roku obiecywał poparcie całego świata, spisków które wewnątrz Rosji rozsądzą carat, interwencyj które z zewnątrz Rosji przyniosą pomoc Zachodu. Tak ponurymi barwami malował pobór do wojska; tak zapewniał, że nie dopuści by sprysiężeni brance ulegli. A teraz branka była przeprowadzona. W dodatku wielu ludzi wiedziało, że od szeregu tygodni wszyscy wybitniejsi przewodcy poznikali z Komitetu, z Warszawy, z Polski. Byli gdzieś za granicą. Margrabia się nie omylił w swych rachubach i w zapowiedziach swej prasy. Ci co mogli schronili się za kordon: ci co nie mogli zostali zdani na łaskę losu.

Branka przeprowadzona została bez trudności, a niebawem artykuł w organie Wielopolskiego, w którym poznawano pióro margrabięgo, pisał o niej że odbyła się w pełnym spokoju, a wśród poborowych dało się zauważyć „nawet wesołe usposobienie”. Ponieważ w Polsce nie tak nie drażni jak słowo pisane, więc ów zwrot służył przez długie lata dla potępienia margrabięgo. Wszak było to kłamstwo! Wszak była to nieprawda! Powoływano się na opinię księdza który wszedł do lokalu gdzie zebrani byli poborowi i zastał wielu z nich . . . grających w karty. Gra w karty, chyba tylko w oczach bardzo wielkiego laika, jest objawem szczególnej desperacji. Niedługo potem rekruci z Królestwa mieli powitać cara gromkimi „ura”, niczem rekruci znad Kamy czy Oki. Jakże więc było naprawdę? Prawdopodobnie było mniej dramatycznie niż sobie kto wyobrażał. Najbardziej zaciekli zbiegli przecież w la.y i branka ich nie objęła. Na dwa tysiące poborowych Warszawy podobno tylko coś ponad pięciuset miało kontakt z czerwonymi. Zamiarem Wielopolskiego było przedstawić sprawy w naświetleniu tak samo minorowym, jak ci co pchali do powstania przedstawiali je w wyolbrzymionym. Jeśli zamiar Wielopolskiego chybił, to z innych względów.

Wspomnieliśmy, że niemal cała starszyzna powstańcza nie była podówczas w Warszawie, nie była nawet w kraju, odeszła za granicę. Czy nie chciała być w Warszawie w tych trudnych chwilach kiedy branka przyjdzie a oni nie ośmielią się rzucić hasła? Czy myśleli że bez nich nie dojdzie wybuch do skutku? Czy nie mieli dosyć odwagi aby powstanie do którego rozpalili wyobraźnię, podniecili umysły, ale nie przygotowali — bo nie mogli — warunków, zatrzymać osobistym wystąpieniem? Brać za to zatrzymanie odium niepopularności? Dosyć, że wodzów nie było i tłum warszawski złorzeczył nieobecny wodzom, jak nieraz w Polsce złorzeczył tym wodzom co swoje wojska opuścili. Ale w miejsce pierwszoplanowych figur w Komitecie Centralnym były drugoplanowe, a raczej trzecio i czwarto planowe. Był, jak czasem w Polsce bywa, zupełny brak ludzi. Sierżanci zamiast generałów. I ci, wobec tego, że młodzież już poszła do lasu, że tłum złorzeczy czerwonym, że branka się powiodła, że kadry na które liczone będą nią przetrzebione, poszła na powstanie. Postanowione zostało na noc z dnia 22 na 23 stycznia. Młoda poetka Maria Ilnicka,

w braku lepszych, napisała odezwę do narodów „Polski, Litwy i Rusi”. Na prowincji polecono zaatakować załogi rosyjskie w kraju. Komitet Centralny po raz trzeci w swych dziejach zmienił miano. Nie był już „Miejskim”, nie był więcej „Centralnym” ale przybrał nazwę która miała przejść do historii. Wystąpił jako „Tymczasowy Rząd Narodowy”. W tej tymczasowości leżało piętno dorywczości i pośpiechu z jakim nastąpił ów dziejowy, brzemienny w skutki, akt.

„W nocy z dnia 22 na 23 bm stronnictwo bezrządu usiłowało w różnych miejscowościach uderzyć na wojsko w Królestwie konsystujące” oto jak oficjalny komunikat powiadał prasę warszawską o dokonany wybuch. Nie był on zbyt imponujący. Na 144 garnizony rosyjskie — od czasu zamachowej działalności czerwonych siły rosyjskie wzmocniły się niemal pięciokrotnie — tylko kilkanaście uległo napadowi, wszystkie nieszkodliwemu. Następne dni miały dowiedzieć, że lud nie dał się poruszyć, pomimo obietnic nadań ziemi, zwolnienia nie tylko od pańszczyzny, ale i czynszów. Było nawet przeciwnie. W parę dni po wybuchu powstania chłopci w Krasnostawskim dostarczyli policji dwudziestu „podżegaczy”, a w tym jednego księdza. W Białaczewie chłopci rozgromili powstańczą partię, w Końskim bandy chłopskie rozpoczęły tropienie po lasach, w Sannikach w Kutnowskim zabili nawet księdza reformata który nawoływał do powstania. O faktach tych nie lubi wspominać legenda, ale niemniej są one faktami. Gdyby policja była w ręku rosyjskim, a nie polskim, i gdyby chciała pojsć za wzorem austriackim sprzed kilkunastu lat, mielibyśmy niewątpliwie nie jednego, ale bardzo wielu Jakubów Szelów, a rzeź galicyjska miałaby w Królestwie Polskim rozszerzoną powtórkę. Ale, na szczęście, a wbrew woli roztropnego społeczeństwa, na czele rządu i reform stał jeszcze nie „człowiek obcy”, ale rodak, który właśnie oczyścił był administrację Królestwa z Breindłów w rosyjskim wydaniu. Jedno pozostało pewnym; ruch chłopski z powstaniem nie poszedł. Stał się przeciwko niemu.

Natomiast nasuwało się zadanie wstrzymania ruchu i w tym celu narzuciła się konieczność innej, ostatniej gry, w której Wielopolskiego zawiodła ostrożność. Ci co uszli do lasów byli dezertkami z wojska i wojsko powinno się było o nich upomnieć. Wojsko było to wojsko rosyjskie. Wielopolski wiedział że ma w nim wroga, że tak samo jak biurokracja rosyjska tak samo carska generalicja widzi w Królestwie tylko teren do łatwej i sutej obłówek, niezależnie od tego czy to wyjdzie na dobre racji stanu rosyjskiego państwa. Czy Wielopolski sądził jednak że spełnią oni posłusznie każdy rozkaz swej władzy, zwłaszcza gdy jest nią brat cesarski? Zapewne tak. Musiały go zmylić wschodnie pozory służbistości, dyscypliny i uniżenia. Zawierzył. W konferencji z generałami rosyjskimi u wielkiego księcia narzucił im nawet jeszcze cały swój plan działania. Oto wojsko rosyjskie otoczy okolice leśne na północ od Warszawy, i obławę, jak nagonka, zagarnie tych co się tam zeszli. Generałem rosyjskim było to w smak, ale dalszy wymóg Wielopolskiego im nie odpowiedział. Wojsko rosyjskie wejdzie w te lasy bez amunicji, z samymi bagnietami tylko. „Ależ oni mają rewolwery” próbował oponować któryś z generałów. „Ja przed ich rewolwerami obroniłem się laską” przypominał jeden z zamachów sierpniowych margrabia. I wojsko poszło na tę pierwszą obławę z karabinami nienabitymi, aby żaden strzał nie mógł paść.

Zamiarem Wielopolskiego było niewątpliwie powstrzymać tym rozlew krwi, ale zarządzenie dało odwrotny skutek. Pod Ciołkowem padł niebawem pułkownik rosyjski Kozłaninow a z nim kilkudziesięciu żołnierzy rosyjskich zabitych pałkami i kosami właśnie dlatego że nie strzelali do osaczonych brankarzy. Było to pierwsze właściwie zwycięstwo nad Rosjanami. Teraz z jednej strony konspiracja wyniosła pod niebiosy owo zwycięstwo, z drugiej strony generałowie rosyjscy uderzyli na larum.

Czy był to tylko sprytny manewr, czy chwila paniki? Dosyć że garnizony rosyjskie otrzymały rozkazy koncentracji, poopuszczaly szereg miejscowości, pozostawiając magazyny wojskowe, zapasy, nieraz nawet zapasy broni. Opuszczone miejscowości zajmowały teraz bez żadnego trudu, ale za to z wielkim rozgłosem, partie powstańcze, nabierając sił, pomocy i otuchy. Luty przynosił echa dalekich strzałów. Pod Suchedniowem Czachowski. Pod Świętym Krzyżem Langiewicz. Wedle jednej plotki generał Mierosławski z tysiącem wiernych już zdobył Kujawy, wedle innej Sadyk Pasza Czaykowski już z Turcji kroczy przez Podole! Obok wieści nadziei, sły wieści grozy. Rosjanie spalili Suchedniów, Wąchock, Węgrów, napadli na zebranie towarzyskie na wsi u hrabiego Poletyły i zabili tam kilka osób, a poranili resztę. Poletyły był członkiem Rady Stanu, owego polskiego senatu z reform Wielopolskiego. Jakże wygląda szanowanie polskich instytucyj przez carskie żołdactwo?

Wyglądało ono fatalnie. Generalicja carska nareszcie odegrywała się na Wielopolskim za wszystkie poniżenia. Pamiętała, że niedawno jeszcze, w dzień nowego roku 1863, kiedy „cała Warszawa” zebrała się na salach Zamku aby składać życzenia wielkokończącej parze, Wielopolski zagroził drogę tejże generalicji, kiedy jako pierwsza spieszyła w stronę tronu. „Najpierw Rada Stanu” zadeklarował — i polscy cywile przeszli przed rosyjskimi wojskowymi. W kilka tygodni potem kozacy rąbali bezkarnie szablami dom jednego z owych cywili. Ale mogli rąbać. Teraz bowiem mieli wiatr za sobą. W prasie rosyjskiej podniosła się fala nacjonalizmu, wzywająca pomsty za „pomordowanych kijami żołnierzy Kozłaninowa”, za wymyślone lub prawdziwe potyczki, za rzekomy „srom” zadany rosyjskiemu honorowi wojskowemu. Zarazem padały oskarżenia przeciwko Wielopolskiemu. Oto do czego doprowadziły jego „reformy”! Oto rezultaty cackania się i ustępstw! Czy w ogóle można mu było wierzyć? Rosyjska podejrzliwość święciła swe tryumfy. Naraz, w oczach społeczeństwa rosyjskiego, jedyną osą Rosji nad Wisłą stawała się z powrotem armia. Jej zadaniem szczytnym, wielkim i patriotycznym było przeprowadzenie prawdziwej pacyfikacji.

Nie ma ani jednego historyka tych czasów który by nie przyświadczył, że powstanie było nader łatwe do zażegnania w pierwszym okresie wybuchu. Jedynym punktem spornym jest to dlaczego w takim razie tak się nie stało. Niektórzy historycy są zdania, że spowodowała to niesłychana niezdarność wojskowych rosyjskich, inni — w tym szeregu historyków sowieckich — przychyliła się do tezy, że po prostu — nie chcieli. W każdym razie jedno możemy stwierdzić. Oto długotrwałość powstania wyszła niezmiernie na korzyść tych co je tak powoli tłumili. Gdyby wybuch spalił na panewce, represje i nagrody nigdy nie mogłyby przybrać tak olbrzymiego charakteru jak przyjęły w rok i w dwa lata później. Wybuch nie rozszerzyłby się na element który niebawem miał być główną jego podstawą. Na misy „białych”. Ale też, gdyby wybuch i tłumienie jego nie przybrało tych rozmiarów, nigdy by pomiędzy dwoma narodami nie wyrosła taka przepaść nienawiści i nieufności. To pewna, że każdy dzień teraz pogłębiał tę przepaść, tak samo jak na skutek interwencji dyplomatycznej francuskiej, potem angielskiej, powstanie 1863 roku pogłębiło rozbrat pomiędzy Rosją a Francją, ułatwiło porozumienie Rosji i Prus. Wreszcie prąd podmył zarówno reformy jak i osobę Wielopolskiego.

Interwencja francuska nastąpiła w marcu. Było jasnym że w razie wybuchu rząd francuski będzie musiał uczynić jakiś gest, ponieważ zbyt pochopnie Polaków podtrzymywał i zbyt wiele ukazywał im widoków. Ale było także jasnym, że ograniczy się on do dyplomatycznych not, widzeń, i ochłodzeń stosunków, że poza te ramy nie wyjdzie. Gdyby wyszedł, Prusy również poszłyby dalej niż pomoc w wyłapywaniu powstańców

jak to już zrobiły. Natomiast interwencja francuska spowodowała nowy atak wściekłości rosyjskiej opinii publicznej, nowe poparcie polityki „silnej ręki” nad Wisłą, to znaczy tylko dalsze pogorszenie stosunków. Nie tylko polsko-rosyjskich, ale polsko-francuskich, i hrabia Orłów nie miał już doczekać się za swoich dni dojścia do skutku tego płodnego porozumienia nad którym tak aktywnie pracował. Za to Bismarck zacierał ręce. Właśnie doszedł do władzy, a to co zrobili „czerwoni” było mu tak samo na rękę jak było mu nie na rękę to co robił przedtem Wielopolski.

We wspomnieniach jakie w najbliższej okolicy Chrobrza przetrwały do dziś dnia przechowało się wspomnienie o starym margrabim jako o zapalonym myśliwym. Lasy Chrobrza do naszych czasów obfitowały w grubego zwierzka, z niedalekiej „puszczy jodłowej” przy Świętym Krzyżu przemykały tam jelenie i dziki-odyńce. Otóż teraz to z kolei Wielopolski był takim odyńcem-samotnikiem, dopadniętym w kniei przez sforę, szarpającym ze stron wielu, może czującym już, że nie ujdzie. Ale odbijał ciosy. W rozgwarze strzałów powstańczych przeprowadził jeszcze usunięcie języka rosyjskiego z protokołów Rady Stanu, naznaczenie kilku biskupów do nieobsadzonych stolic, powierzenie teki spraw wewnętrznych Polakowi w miejsce Rosjanina Kellera. Odnosił jeszcze i zwycięstwa. Tak na przykład młodzież akademicka Szkoły Głównej nie poszła do powstania. Jej przewodcy i ogół oparli się nawoływaniu, pomimo że już wtedy „biali” przystąpili do powstania, „skoro już ono jest”, i opanowywali jego kierownictwo, wyrugowując czerwonych. Przewodcą tej młodzieży przeciwnej powstaniu był postępowy student, potem głośny uczonec, późniejszy teść polskiego premiera i ministra oświaty, sam kontrkandydat Narutowicza przy wyborach pierwszego Prezydenta R.P. Nazywał się Baudoin de Courtenay: przeciwnicy powstania nie byli więc koniecznien ludźmi prawicy, nie byli ludźmi bez charakteru, nie byli złymi Polakami. Po prostu, do powstania poszli ci zrazu u których uczucie przeważało nad rozsądkiem, a dopiero potem, już jako ofiarnicy, poszli ludzie którzy mu byli nawet przeciwni, choć nie dostrzegli jak łatwo igra się z ogniem i jakie to pociągnie skutki.

Odyniec umie czasem rozplatać co dokuczliwszego ogara. I tak Wielopolskiemu udało się w marcu wylanie generała Ramsaya, dotychczasowego głównodowodzącego wojsk rosyjskich w Królestwie. Ale zwykle w miejsce jednego ogara rzuca się inny, — i następcą Ramsaya został generał który już się wprawił w grabieniu Polski po roku 1830, zasłynął z okrucieństw w krajach bałtyckich, i miał zapisać się niezwykle ponuro w dziejach polsko-rosyjskich. Był to jeszcze jeden Niemiec: Berg. Berg uzyskał szybko wpływ na wielkiego księcia Konstantego i niemniej szybko stał się z Wielopolskim. Ale odyniec był już strudzony walką, kiedy nowy ogar ze smyczy carskiej był wypczęty. I nie był samotny.

W połowie kwietnia przyszedł ostatni owoc współpracy Wielopolskiego i dyplomacji zachodniej. Car ogłosił amnestię. W ciągu miesiąca powstańcy mieli złożyć broń: prócz byłych wojskowych rosyjskich nie ulegliby karze: reformy byłyby utrzymane: car zapowiadał nawet ich rozszerzenie. Ale amnestia przeszła w Kraju bez echa. Opinia polska zaatakowała przede wszystkim szereg ... niefortunnych stylistycznych zwrotów w których uznawa obrazę narodu. Dalej, któż miał właściwie odprowadzić powstanie do domu? Luźni, pojedynczy przewodcy pojedynczych oddziałków? Centralne kierownictwo było raczej symbolem. A wreszcie, i z Francji i z Austrii szły głosy podniety. Napoleon III-ci nawiązał mętny kontakt z Hotelem Lambert: z Krakowa szły dyrektywy by powstanie rozszerzyć jak najbardziej, bo „krew przelana oznaczy granice Polski”. „Jeszcze nieco wysiłków a byt Polski, przynajmniej piętnastomilionowej pewny” szeptał inny agent, widocznie zapominając, że

Polska piętnastomilionowa — to jednak już nie są „granice z 1772 roku”. Paweł Popiel, który teraz po społu z czerwonymi szedł na powstanie, przywoził nawet z Paryża wiadomość o „dostępie do morza”. Ale najśliszszym echem miało zapaść w lasy i w serca polskie jedno krótkie słówko rzucone do powstańców rzekomo przez Napoleona III-ciego. „Durez”. „Trwajcie”. Po wielu, wielu latach, kiedy historycy zainteresowali się tym słówkiem, okazało się że nie bardzo wiadomo komu właściwie powiedział je cesarz. Podobno...ambasadorowi austriackiemu. Ów poseł austriacki istotnie zasługiwał na zaufanie Polaków. Nazywał się Metternich.

W opustoszałym Pałacu Bruhlowskim trwał dalej opuszczony Wielopolski. Kiedy dochodziły do niego pogłoski o rychłej i wspaniałej interwencji zachodniej, rąbał tylko jednym pytaniem: „A czy flota anglofrancuska już przybyła pod Częstochowę?” Ale, wbrew zapowiedziom z austriackiego zaboru, jakoś jej brakło. To prawda, zbierano składki i pisano w gazetach, przemawiano w parlamentach. Walczyli francuscy żuawi pułkownika Rochebruna, miał paść dzielny Włoch, Nullo. Tak jak zginął szlachetny Rosjanin Potiebnia. Ale to o co Zachód gotów był interweniować — orężem łagodnej perswazji — były granice 1815 roku. Z grubsza linia Bugu. Powstanie w niczym nie zmieniło tu stanowiska Zachodu. Grupa skrajnych rewolucjonistów zachodnich, od dawna odnosząca się z niechęcią do samodzielnego Rosji, a pozyskana przez polskich demokratów à la Lelewel nawet dla granic 1772 roku, miała zawiązać w Londynie komitet pomocy powstaniu, którego duszą był niejaki Karol Marks, a z którego narodziła się później babunia Kominternu — Pierwsza Międzynarodówka. Ale i to nie pomogło powstaniu, a, jak się zdaje, nie leżało zbyt w projektach białych. Ci zaś teraz brali w walce górę. Ich kadry były liczniejsze, mieli silniejsze bazy w Galicji i Poznańskim, dyplomację emigrancką z Hotelu Lambert, a wreszcie masy księży na zapadłej wsi. Z ich szeregów miał wyjść symbol powstańczego ofiarstwa — Romuald Traugutt.

Z ostatnimi ciosami jakie jeszcze zadawał w walce Wielopolski łączyły się już ciosy jakie otrzymywał. I tak owego kwietniowego dnia kiedy Polak obejmował w Królestwie sprawy wewnętrzne, car podpisywał dla Litwy inną nominację — Murawjewa. Członkowie Rady Stanu podawali się do dymisji podważając tę polską instytucję. W Rosji doszła do szczytu fala świętego gniewu. Ogarniała nawet lewicę, nawet liberałów. Odsobnionym przyjacielem Polski pozostał tylko wygnaniec, wielki Herzen. Aleksander II-gi otrzymywał teraz płomienne adresy rosyjskie wzywające go do nieustępliwego stanowiska. Szlachta kostromska pisała o „naszym rosyjskim prawie do Polski”: „nie ustąpisz, monarcho, własności państwa rosyjskiego” zaklinała rada miejska Moskwy. Temu car nie mógł się oprzeć. Tak ongiś prosząc groził Karamzin Aleksandrowi I-emu gdy nurtowały pogłoski, że idzie na ustępstwa Polsce. Prasa była konkretniej niż szlachta i rady miejskie. „Nie ulega wątpliwości, stwierdzały „Moskiewskie Wiedomości” że głównym naszym wrogiem nad Wisłą nie są ani bandy powstańcze, ani rząd narodowy, ale cywilna administracja Królestwa”. I atak koncentrował się na Margrabim.

W czerwcu drzewo podcięte miało otrzymać ostatni cios. Nie był on większy od wielu innych, ale przeważał szalę. Oto 9 czerwca 1863 roku z Kasy Głównej Komisji Skarbu znikły 3.602.461 rubli: z kasy głównej ministerstwa skarbu! W biały dzień! Niebawem okazało się, że po prostu zaufani kasjerzy przekazali tę kwotę kasom... Rządu Narodowego który pokwitował z odbioru i pochwalił czyn. Mniejsze wydarzenia w tym rodzaju już się działy, ale obecnego nie sposób było zataić lub zbagatelizować. Dowodził on jednego: że polska administracja Królestwa



stworzona przez Wielopolskiego nie zasługuje na zaufanie. Już przedtem prasa rosyjska i biurokracja Petersburga powoływała się na sabotaż spisu poborowych, na ucieczki urzędników do powstania, na „przekazywanie” pomniejszych kas, i tym podobne wypadki. Już od lutego sugerowała zastąpienie pewnej części „niepewnych” urzędników Polaków „pewnymi” urzędnikami rosyjskimi... Wielopolski odrzucił to stanowczo — i wziął odpowiedzialność za stworzony przez siebie aparat. Teraz było oczywistym, że nie mógł jej brać więcej. Chyba uzasadniały podszepty rosyjskie, że jest on istotnie „polskim Wallenrodem” skrycie sprzyjającym powstaniu. Wyciągnął konsekwencje. Podał się do dymisji.

Podawał się już do niej w końcu kwietnia, ale jeśli jej i wtedy i zaraz nie uzyskał, to zapewne dlatego, że car wiedział, iż w oczach Zachodu Wielopolski sygnalizuje to że reformy trwają, a jeśli on odejdzie, Zachód zrozumie, że nad Wisłą wraca już w pełni generalski nahaj, brzek ostróg i potęga szpicli. Ale teraz carat miał lepszą sytuację. Wiedział już, że Zachód nie jest skłonny do bardziej aktywnej interwencji o Polskę. Wiedział, że nawet prasa także odwraca powoli swą uwagę od lasów Małogoszcy, Miechowa czy Siemiatycz, ku rozgorzałej właśnie wojnie secesyjnej w Stanach Zjednoczonych. Była to wojna niezwykle atrakcyjna dla wszystkich. Chodziło w niej o wyzwolenie Murzynów, spopularyzowanych w świecie „Chatą wuja Toma”. Jedni żalowali ziemiańskiego uroku starych Georgii, Wirginii, Karolin, dobrze nam dziś znanego z „Przełminęło z wiatrem” a inni wierzyli w demokrację yankeskiej Północy. A jeśli komuś nie wystarczał Charleston i Potomac, to właśnie wybuchały inne walki w kolorowym Meksyku... Sprawy polskie, ze swą beznadziejną martyrologią schodziły z łamów prasy do krucht kościelnych w Bretanii, do klubów konspiracyjnych na przedmieściach Paryża. Nie prędko miały z nich wyrzeć. Rosja mogła już usunąć margrafa.

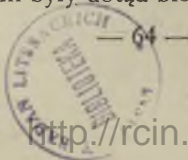
7 lipca przyszła z Petersburga „najwyższa zgoda” na urlop dwumiesięczny „celem poratowania zdrowia” i pozwolenie, jakiego Rosja zawsze udzielała skąpo: na wyjazd za granicę. Zdrowie Wielopolskiego było istotnie przeżarte do dna i kilkanaście lat jego dalszego życia, na dobrowolnej emigracji w Dreźnie, były już naprawdę tylko powo nym konaniem. Niemal w tym samym czasie car „najmiłościwiej” wzywał do siebie na „czasowy wyjazd” wielkiego księcia Konstantego, — i także co domyślniejsi wiedzieli, że wielki książę więcej tu nie wróci. Po co? Aby członek dynastii, liberał i sławianofil przydziował kaźni? Do tego car ma dosyć generałów. Obie postaci polsko-rosyjskiego porozumienia schodziły tak ze sceny dziejowej, i Austria oraz Niemcy mogły odetchnąć, że po checzach kaszubskich, po słowackich wsiach i starych czeskich miastach, a nawet gdzieś w dalekiej, ale słowiańskiej Chorwacji, przestaną się budzić ciągoty na wieść niejasną o wykluwaniu się tam nad Wisłą, z porozumienia dwóch głównych słowiańskich narodów, jakiegoś wyzwolenia ziem nad Weltawą, Odrą i sinym Wagiem. Któż zatem przostawał na polu bitwy? Pozostawał głównodowodzący wojsk rosyjskich któremu już parę miesięcy przedtem powierzono zastępcze pełnienie obowiązków namiestnika w wypadkach „czasowej nieobecności” cesarskiego brata. Tak, nad ciemnym niebem Królestwa, wschodziła złowróżebna, przeklęta dla Rosji i dla Polski, gwiazda Berga.

W pałacu bruhlowskim, u jego boku, „tam gdzie margraf pisał swe przebiegłe raporty” ulokował się zaś Milutin z całym programem wyniszczenia polskośći w urzędach, w prawie, na wsi, w szkole, w pacierzu nawet. Był to „lewicowiec biurokratyczny” — i przez szereg lat swych rządów był pełen miłości dla polskiego chłopca. On to wyzwalał go spod niewoli szlacheckiej. Wyzwalał tak pięknie, że kiedy w kilkadziesiąt lat potem armie rosyjskie opuszczały Królestwo, był to kraj liczący więcej

analfabetów niż cała reszta Europy, posiadający najgorsze w Europie drogi, najsilniejsze wrzenie socjalne, i utajoną, trzaskającą jednak strzałami rewolwerów i bombami zamachów, nienawiść do Rosji. Wiedeń i Berlin mogły się cieszyć. Jeśli Rosja w umysłach polskich nie miała się łączyć z Tolstojem i Turgeniewem, ale z nahajem i kibitką, jeśli pojęcie słowiaństwa miało napęcznieć gorzką ironią, jeśli mowę Puszkina którą kochał Mickiewicz miał nienawidzić tak lewicowy pisarz jak Żeromski, to wszystko było tylko produktem tego co Królestwu przyniosły rządy obcej generalicji i obcej biurokracji utworzone tu nazwiskami Milutina i Berga.

Wielopolski opuścił Polskę 14 lipca i wyjazdł jego, wobec tego że próby zamachów nie ustawały, odbył się w ścisłej tajemnicy. Podróż i na stacji w Aleksandrowie nie mogli podobno pojąć, dlaczego naraz dworzec obstawiono kordonem piechoty i żandarmów, dlaczego przy salonce pociągu idącego ku Ołoczynowi i granicy pruskiej stanęli zbrojni pruscy policjanci, czym uzasadnić zdenerwowanie oficerów, niepokój żołnierzy? Przy trzecim dzwonku — ostatnim sygnale odejścia pociągu — wszystko stało się jasnym. W otoczeniu rodziny, w towarzystwie zaufanego człowieka rządu narodowego — także dla bezpieczeństwa — ukazała się dobrze znana, ciężka, rozlana tuszą w ostatnich chorych miesiącach, postać Wielopolskiego. Poznano szerokie ramiona, silny kark i wielką głowę buldoga. Tłumem poszedł szept: „Margrabia”... I wtedy stało się coś czego nie mogli zrozumieć ani żandarmi rosyjscy, ani policjanci pruscy, ani delegat powstańczy, ani rodzina Wielopolskiego, ani późniejsi historycy polscy. Oto na widok zniechęconego człowieka publiczność polska naraz podkrywała głowy. Na małym dworcu, w lipcowy ranek, nastąpiło przeżranie milczenie, słychać było tylko sapanie lokomotywy, brzęk ostróg żandarmskich i kroki, ostatnie kroki jakie robił ten człowiek na ziemi polskiej. „Smutek, jakiś ciężki przygnębiający smutek, ogarnął obecnych, pisze lewicowy historyk. Na widok człowieka wyzywanego od zdrajców, szkalowanego bezkarnie, ogłoszonego z rodziną za „wyjętego spod prawa”, uważanego za „narzędzie moskiewskie” stano teraz nieruchomo na tym przygodnym peronie i z kapłuszami w rękę, ku zdumieniu żandarmów i żołnierzy rosyjskich, spoglądano w stronę oddalającego się pociągu, wśród odznak szacunku jaki się jedynie monarchom ukazywać zwykło”.

Być może, było to nagle przeczucie jak straszliwa klęska narodowa nastaje właśnie z upadkiem i odejściem tego człowieka. Pod jej brzemieniem istotnie marniały potem trzy pokolenia polskie, a nasze życie obecne nosi wciąż jeszcze, nie wiedząc o tym, jego ślady. Być może był to hołd oddany jedynej postaci owych czasów w których później z Piłsudskim mieliśmy się w pierwszym rzędzie doszukiwać wielkości. Czy Wielopolski dostrzegł ową zmianę i czy też się zdziwił? Tego historyk nie zapisał. Ale ci co znają Wielopolskiego wiedzą, że jemu jednemu nie było to dziwne i jemu jednemu było to teraz bezgranicznie, ogromnie, obojętne. Wielopolski wiedział, że Polska daje władzę, uznanie, szacunek, miłość, za życia tylko mydłkom, bufonom, warchołom, zajazdowiczom i silnogębskim, tym co każda, cmokają i broń Boże nie tykają narodowych ran, i że wielkość oczekuje się u nas wspaniałego uznania — po śmierci. I Wielopolski wiedział że okruczeństwo uznania, tego szacunku, tego zaufania jakim zaczęto go darzyć już niebawem, ale po niewczasie, z jakim jego nazwisko utrwalił Aleksander Świętochowski, Józef Piłsudski, Feliński, Spasowicz, Prus, Sempołowska, Grabski, Dmowski byłby jeszcze temu parę miesięcy *odwróci!* bieg cały narodowych spraw. A teraz te głowy odkryte na przygodnym dworcu w Królestwie, te słowa uznania co przyjęść miały od najświetlejszych i najdalszych, były już tylko tym czym jest bujne, majowe kwiecie, naraz całą duszącą masą rzucane na trumnę człowieka którego udziałem jedynym były dotąd błoto, kamienie i ciernie.



11-6903

<http://rcin.org.pl>

Doc. 70/564



JUŻ UKAZAŁ SIĘ  
TOM WIERSZY

## ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO

p. t.

### „WYBÓR POEZJI”

Cena 12/6

W sprzedaży księgarskiej pozostało tylko wydanie  
na papierze czerpanym

0781/83 II-6903

## KALENDARZYKI „44” NA 1944 r.

### POSIADAJA

Kalendarz z wykazem imion świętych według wydania z Kraju, a ponad to zawierają około 100 stron na notatki osobiste, wszelkie aktualne adresy i telefony urzędów, instytucji i klubów polskich, wreszcie dojazdy komunikacyjne w Londynie do każdego z Ministerstw. Nie przeladowane w treści i ograniczone w kształtach, są niezbędnym przewodnikiem informacyjnym w codziennym życiu każdego Polaka.

Cena 3/-

Cena 3/-

SKŁAD GŁÓWNY  
W LONDYNIE

91, Great Titchfield Str., W.I.  
Tel. MUSEUM 1409

## JUŻ CZAS

ODNOWIĆ  
PRENUMERATĘ

### „NOWEJ POLSKI!”

WSZYSTKIE  
PRZEKAZY  
ŻOŁNIERZY

## II KORPUSU

NADCHODZĄ DO  
NAS REGULARNIE  
ZA POŚREDNICTWEM

### POCZTY POŁOWEJ

## ROCZNIKI OPRAWNE „NOWEJ POLSKI”

za 1943 Rok

(około 1000 str. druku i ilustracji  
w ozdobnej płóciennej oprawie

WYSYŁANE SĄ

## NA ZAMÓWIENIE

Cena z przesyłką i oprawą £ 1.15.0

**NOWA POLSKA** jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

**NOWA POLSKA** służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

**NOWA POLSKA** pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękański, Ciołkosz, Czuchnowski, Danilewiczowa, Dzięwanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Hertz, Hładki, Horzelski, Janta, Karpiński, Konarska Kossowski, Kot St. Kriedel, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Mrozowicki, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Ordega, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M. Potworowski, Pragier, Ksaw. Pruszyński, M. Pruszyński, Słonimski, Sokółów, Stańczyk, Stawiński Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szczerbicki, Szczytt-Lednicka, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waliński, Wieniewski, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Żulawski, Żyr...

Nowej Polskiej zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3.  
Abonament roczny z przesyłką:

|                          |     |     |     |     |     |         |
|--------------------------|-----|-----|-----|-----|-----|---------|
| w W. Brytanii i Dominich | ... | ... | ... | ... | ... | £1 16 0 |
| w Ameryce Płn. i Płd.    | ... | ... | ... | ... | ... | 87.50   |
| Roczniki Oprawne za 1942 | ... | ... | ... | ... | ... | £1 6 0  |
| „ ” „ 1943               | ... | ... | ... | ... | ... | £1 15 0 |

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.I.  
TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków.